Nr 17 (1580). Warszawa, 29 kwietnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Jezuici i Masoni.

Zgiełkiem szczególnej naganki rozbrzmiewa dziś prasa rosyjska i polska: nad Newą doświadczeni szczwacze i dojeżdżacze tropią jezuityzm w każdej polskiej szkółce parafjalnej, a nad Wisłą organy bardzo miarodajne drukują sążniste rewelacje o niegodziwych knowaniach i przewrotnych celach masonerji węgierskiej i francuskiej.

Przypadkowa zbieżność tych obu kampanji nasuwa pewne refleksje.

Przedewszystkim, wersje o rozgałęzionej bezpośredniej akcji „dzieci Lojoli" są niedorzeczne lub świadomie kłamliwe i bez trudu zawierzyć można twierdzeniom krakowskiego prowincjała oo. jezuitów, że w chwili obecnej na całej przestrzeni państwa rosyjskiego niema żadnego jezuity, prócz jakiegoś księdza — Francuza, wysłanego w celach naukowych.

Sprawa pośrednich wpływów tego zakonu inaczej się jednak przedstawia. Dzięki zupełnej swojej wszechwładzy na Watykanie, jezuici faktycznie urabiają w palcach całą hierarchję kościelną od góry do dołu i polityce rzymskiej dowolny nadają kierunek. Dość powiedzieć, że w ich rękach znajduje się *Collegium Romanum* i kongregacja Propagandy Wiary.

Z drugiej znów strony wysoce naiwnym jest odgadywanie rąk masonerji w każdym takim akcie, który się niepodoba sferom klerykalnym i wstecznym. Ale — i to znów stwierdzić należy — idea masońska od początku XIX-go stulecia powszechne choć niewidoczne kładzie piętno na całej współczesnej kulturze, i wszędzie w myśl tej idei działają grupy, związki, zespoły, które nietylko, że nie są z masonami w kontakcie, ale nawet przybliżonego o nich nie mają pojęcia.

W tej perspektywie pewnych uogólnień i uproszczeń, wpływy jezuickie i wpływy masońskie ścierają się ze sobą, zmagają się bez wytchnienia na całym olbrzymim froncie współczesnego życia.

W tych bowiem zespołach zawarły się dwie główne antytezy, dwie sprzeczne strony oblicza zachodniej Europy, — ta, co uosabia w niej władcze moce przeszłości, ze swych uroszczeń jeszcze nie rezygnujące, i ta, co jest wyrazem nieustającej, wartkiej i twórczej pracy nad podźwignięciem rodzaju ludzkiego ku nowym, doskonalszym normom współżycia.

* * *

Jezuityzm powstał w Hiszpanji, gdzie narodzinom jego świeciły „akty wiary" z akompanjamentem nieludzkich wrzasków i swędu palonego ciała. Dobrany, karny, ćwiczony na walce z herezją zakon Ignacego Lojoli zdołał wydrzeć Reformacji i uratować dla Rzymu część Niemiec i całą Polskę, która w wieku XVI-ym wydawała się już zupełnie straconą.

Wolnomularstwo wywodzi się z Anglji, kolebki swobód liberalnych, najwyższej kultury i ogłady myśli. W krajach protestanckich zlewa się niedostrzeżenie i harmonijnie z układem całego życia duchowego, przyczym opieka nad nim stanowi zaszczytny przywilej korony.

W społeczeństwach podległych duchowemu uciskowi Watykanu, idea masońska skojarzyła się z hasłem narodowej i politycznej emancypacji; przykładem — Hiszpanja i Portugalja.

W Polsce jezuici i masoni odegrali kolejno swoją rolę.

Zakon Ignacego Lojoli zabrał się bardzo sprężyście i skutecznie do walki z Reformacją polską; he-

rezja została wykorzeniona, ale zarazem Rzplta zapadła w mrok, reakcję, chaos, anarchję i swawolę, chyląc się odtąd do zupełnego już upadku. Niemniej zaważyli jezuici na polskiej polityce zagranicznej, wywołując fatalne, opłakane wojny prozelickie z Moskwą, Szwecją, Kozaczyzną i Turcją, sprzęgając nas z Habsburgami, wiodąc od klęski od klęski, od błędu do błędu gwoli własnej tylko korzyści, aż wreszcie, wygnani z całej Europy, skasowani bullą Klemensa XIV-go, znaleźli przytułek w Prusach i w Rosji, gdzie Katarzyna II szczególnymi darzyła ich względami, za co zyskała cenną i skuteczną pomoc w zamierzonym rozbiorze Polski.

W dziele tym jednak spotkali się z niebezpiecznym oporem masonów polskich, autorów Konstytucji 3-go maja i sprawców późniejszego choć krótkotrwałego rozkwitu Księztwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Przestępstwa jednych i zasługi drugich zapadły w niepamięć u pokoleń późniejszych, do czego kler skwapliwą przyłożył rękę.

Jezuityzm nietylko zaprzepaścił nas politycznie, lecz i upośledził duchowo, spychając gdzieś na szary koniec narodów; natomiast wolnomularstwo chciało nas postawić na równi z Europą i dopięło tego celu w końcu XVIII-go i początku XIX-go stulecia.

* * *

Trudno wymagać od autorów przygodnych rewelacji o jezuitach i masonach, by mieli przed oczyma całokształt tego obrazu.

Zarówno publicyści *Nowego Wremi*, jak i skrybowie *Gazety Warszawskiej* nie sięgają poza podwórko parafjalnych swoich wstrętów i uprzedzeń.

W zjadliwym podszczuwaniu szowinistów rosyjskich ujawnia się zrozumiała zresztą obcość, nieufność i nienawiść do wrażej, choć minionej, ekspansji Rzymu, uosobionej w jezuityzmie, przyczym są tu jeszcze reminiscencje z wojen i zatargów religijnych XVI i XVII wieku, w których jezuici istotnie wybitną grali rolę. Tego im prawowierna Rosja nie wybaczyła, choć potrafiła przygarnąć do siebie zakon św. Ignacego Lojoli, by tym łatwiej dokonać rozbioru Polski.

W bezmyślnej animozji przeciętnej naszej opinji do wszystkiego, co ma związek z „lożami" — tkwi znów odraza kultury plebańskiej, niechęć gminnie zacofanego ducha względem wyższej kategorji pojęć, ożywiających cały kulturalny świat dzisiejszy...

W opinji polskiej i rosyjskiej utarło się zdanie, że Polska, będąc organicznie i duchowo częścią Zachodu, najściślej związana jest z Rzymem. Ztąd łatwo przyszło *Nowemu Wremi* podjąć i rozpowszechnić gadkę o tożsamości jezuityzmu i polskości. Trzeba przyznać, że wyprowadzenie go z błędu przyszłoby z pewnym przymusem naszym konserwatywnym sferom, które byłyby rade uszyć sztandar narodowy z księżej sutanny i mniszego habitu.

Sądzimy ze swej strony, że jeśli jezuityzm reprezentuje istotnie pewną duchową stronę zachodniej Europy — to tę właśnie, która należy już do niechlubnej przeszłości, a dziś trwa w nielicznych na szczęście kołach skrajnej reakcji i chyli się wszędzie do upadku.

Czemu byśmy mieli poczuwać się do specjalnej ścisłości z tymi normami życia, z których świat nowoczesny wyszedł już bezpowrotnie?

Czyż nie jest rzeczą jasną, że raczej przeciwnie— idea postępu, humanitaryzmu i demokracji winna być tą złotą nicią, co nas wiąże z Zachodem, zbliża do dzisiejszego oświeconego człowieczeństwa i czyni nas podejrzanymi i obcymi oczom prywatnych detektytów *Nowego Wremi?*

ECHA PRAWDY.

P. Dworzaczek nie jest człekiem tak małym...

P. Dworzaczek nie jest człekiem takim małym, na jakiego wygląda. Nie zdoła on wprawdzie przysporzyć światu ani jednej słusznej myśli; ale zato, ile razy zechce, tylekroć mocen jest oszczędzić światu jakiejś wielkiej niedorzeczności lub sromotnego głupstwa, przez proste wstrzymanie się we właściwej chwili od głosu. Atoli, podobnie jak ów bohater z „Wesela", p. Dworzaczek nigdy „nie chce chcieć", i to staje się pono tragedją jego życia. Świeżo np., przeczytawszy w z jednym n-rów naszego pisma artykuł Szpona, p. n. „Krzykliwe kłamstwa—nieme prawdy", nie umiał się powściągnąć, i napisał w *Dzienniku Powszechnym* „studjum" poświęcone rozbiorowi rzeczonego artykułu. Obarcza go mnóstwem zarzutów. Nie będziemy rozpatrywać wszystkich, podejmiemy wszakże dwa na próbę.

Aczkolwiek bowiem nie możemy być odpowiedzialni za to, że ktoś obok nas, idąc po równej drodze, potknął się i złamał nogę, wszelako obowiązek ludzki nakazuje nam, w takim wypadku, zatrzymać się nad kaleką i przychylić mu dłoń ratunku. W takiej właśnie intencji zatrzymujemy się nad zarzutami p. Dworzaczka, uważając je za niezaprzeczony dowód jego kalectwa umysłowego.

P. Dworzaczek kwestjonuje w artykule Szpona przedewszystkim zdanie takie: „..Zazwyczaj bywa miłość ojczyzny lub ludzkości podmiotowym wyrazem ideału, wysnutego z doświadczeń, — i wówczas ma się do czynienia z ukochaniem pewnych form i pewnych wartości życia, któremu towarzyszy znienawidzenie innych przeciwnych form i wartości"...

— Co to znaczy? — pyta p. Dworzaczek, w zakłopotaniu kładąc palec w usta.

Odpowiemy chętnie, służąc wyjaśnieniem. Ustęp przytoczony w zwięzłej postaci wyraża powszechnie znaną prawdę, iż ideały nasze wyrastają na podstawie doświadczenia: z tego co istnieje, wnioskujemy o tym, co istnieć powinno. Pod kątek zaś ideałów i za pomocą ich probierza wartościujemy wszelkie zjawiska i stosunki, jakie zachodzą w świecie. Popierając i miłując te, które sprzyjają ziszczeniu ideałów naszych, jednocześnie zwalczamy całą mocą nienawiści czynniki przeciwne, ziszczeniu temu wrogie.

— Bardzo pięknie, — wtrąca znów p. Dworzaczek: — ale jakże miłość może być połączona jednocześnie z nienawiścią? — pyta i w rosnącej konfuzji kładzie drugi palec w usta.

— Miłości doznawać możemy jednocześnie z nienawiścią na tej samej zasadzie, która pozwala nam łączyć cześć dla rozumu z pogardą dla głupoty. Dusza ludzka jest wielostrunna. Każdy moment naszego przeżycia zawiera mnóstwo różnorodnych żywiołów.

I do tego związku poczuwać się możemy z dumą, tymbardziej, że już nie wątpliwy jakiś prozelityzm jezuicki, ale codzienna infiltracja idei zachodnich niesie nam zapowiedź lepszej przyszłości.

Młode zastępy.

Z pobłażliwym uśmiechem, niekiedy z rozrzewnieniem patrzymy na wydawnictwa perjodyczne, i wszelkie wypowiedzi młodzieży. Mało naogół poświęcamy im uwagi, — szczególniej dziś, gdy nasza młodzież uniwersytecka przechodzi okres krzepnięcia duchowego poza naszymi oczami, na obczyźnie.

Nie chcę w tej chwili zastanawiać się nad społecznym znaczeniem uzewnętrznianych objawów życia młodzieży wogóle,—zwrócić jedynie pragnę uwagę na głos dotąd nieznany, który zabrzmiał niespodziewanie, w tym chórze wołającym: „przyszłość moja!"

Ten głos wyszedł z pośród najmłodszych w narodzie, — z pośród grupy społecznej co stała dotąd w milczeniu wobec zagadnień zbiorowego życia, — z pośród m ł o d z i e ż y w ł o ś c i a ń s k i e j.

Dziś polskiej ziemi młodzież wieśniacza,
Między pustkowiem wsi i ugorem
Do lotu skrzydła orle roztacza
Do walki staje z mroków upiorem...

Tak brzmi pierwotna zapowiedź.

Garstka młodzieży włościańskiej, przeważnie wychowańcy szkół rolniczych: S o k o ł ó w k a, K r u s z y n k a, P s z c z e l i n a, G o ł o t c z y z n y, — inicjatywą i wysiłkiem własnym zaczęła prowadzić przy *Zaraniu* stały, dwutygodniowy dodatek własny pod godłem: „młodzi idą".

Trzy pierwsze numery, tego dodatku poszły już w świat. Co one zawierają?

Zewnętrznie biorąc — są tam gorące odezwy do łącznej i wytrwałej pracy, są artykuliki stwierdzające ze szczerym odczuciem różne bolączki wiejskiego życia, a przedewszystkim przemoc ciemnoty, są nieśmiałe projekty prac mogących uzdrowić stosunki, lub zwalczać ciemne moce co u wrót chaty stoją. Pod względem formy, te prymitywy literackie uderzają bujnością wyrażeń nie zabagnionych bynajmiej pożyczaną frazeologją, zaś próby poetyckie zdradzają szczere napięcie uczuciowe ujęte w śpiewną harmonję słów.

W wewnętrznej swej treści posiada ten pierwszy samodzielny odzew włościańskiej młodzieży jedną zasadniczę cechę — jest nią tęsknota. Tęsknota — nie ta beznadziejna, co ukojenia szuka w zapomnieniu, jeno ta tęsknota za przeczuwanymi formami doskonalszego bytu na ziemi.

Ta tęsknota przewija się jak tęcza przez myśli i uczucia wyrażane w onym organie chłopskich synów — dążących do świtu. Ale ci synowie chłopscy zbyt są zżyci z twardymi warunkami bytu, a także zbyt żywotni i duchowo zdrowi, aby zadowolić się jeno marzeniami o jakimś idealnym ustroju: dążą oni do natychmiastowej realizacji swych marzeń.

W takim momencie psychicznym młodzież inteligencka wzywa na pomoc ideje, systemy, doktryny.

Tego materjału myślowego młodzież włościańska nie posiada, — to też szukając granitów logicznych pod swoje tęcze, nawiązując nici między marzeniami o dobru i pięknie a życiem, obraca się ona w ciasnym kole obserwacji bezpośrednich, potrzeb wioskowych, kulturalnych braków swego otoczenia i rwie się do czynów samopomocy społecznej.

Tu jednak w umysłach zdolniejszych poczyna się budzić wątpliwość, — jakieś poczucie dysproporcji między dynamiką pragnień, a środkami ich realizacji. Nie czas jednak na powątpiewanie, na to są oni wszyscy zbyt młodzi, — oparcie dla swej, niesformułowanej zresztą, koncepcji ideologicznej znajdują oni w ascetycznej wierze w potęgę nauki. Oświecajmy się!... oto rozstrzygnięcie wszystkich wątpliwości — wiedza to źródło bezdenne, w którym znajdują się sposoby, środki i odpowiedzi na wszystko. Wiara w potęgę nauki i gotowość podjęcia pracy nad pokojowym odrodzeniem życia ludzkiego — oto zasadniczy ton głosu młodzieży włościańskiej, — głosu synów ziemi. Istotą pierwiastku wnoszonego przez mło-

---

Ktokolwiek ukochał ideały konstytucji 3-go maja, ten każdym aktem tego ukochania przeklina pamięć Targowicy. Chrystus, będący wyrazem najwyższego uniesienia miłości, na widok kramarzy, kupczących w przedsionku świątyni, zapłonął jednakże gniewem i wzniósł na nich karzącą rękę. To niech posłuży za dowód, że nienawiść występuje nie tylko łącznie z miłością, ale niekiedy bywa jej dopełnieniem i czynnym jej wyrazem.

Przechodzimy do wtórego zarzutu. P. Dworzaczkowi nie podobał się jeszcze taki ustęp: „Miłość ojczyzny — pisał Szpon — jest czymś bardzo złożonym. Jeśli miałaby ona być uczuciem i pojęciem przedmiotowym, to niezbędnym jej warunkiem byłaby znajomość ludzkości i ojczyzny, gdyż niepodobieństwem jest miłować to, o czym nie mamy wyobrażenia. To też przedmiotowo, realnie — ludzkość lub ojczyznę miłować mogą tylko ludzie wielostronnie rozwinięci i gruntownie wykształceni, którzy zwiedzali cały świat i obcowali z różnymi kulturami i pokoleniami wszystkich ras"...

— Ależ, w takim razie, — wykrzykuje z pacholęcą przekorą p. Dworzaczek,—ani patrjotyzm, ani miłość ludzkości nie istnieje, bo gdzie znajdziecie człowieka coby zwiedził „cały świat?"

Miast odpowiedzi, posługując się metodą sokratyczną, rzucimy zapytanie, nie przekraczające umysłowości p. Dworzaczka.

— Czy chrystjanizm istnieje?

— Istnieje niewątpliwie, — odrzecze p. Dworzaczek: — przecież ja robię na nim interesa...

— Mniejsza o to! lecz wskaż nam pan człowieka, choć jednego, któryby tak, jak każe religja chrześcijańska, bezwzględnie „miłował nieprzyjacioły swoje i dobrze czynił tym, którzy go prześladują!"

— Ach! to jest tylko ideał... takiego człowieka niema.

— Tak! jest to ideał, do którego jednostki zbliżać się mogą i powinny, lecz którego ziścić nie są zdolne.

Otóż podobnym nakazem idealnym etyki a zarazem mądrości społecznej i narodowej jest nadmieniona wyżej formuła patrjotyzmu i umiłowania ludzkości, o którą tak nieszczęśliwie potknął się p. Dworzaczek, igrając w katolickim ogródku księdza Skimborowicza. Niechże przypomni on sobie, że gdy niegdyś Słowacki z imieniem „księdza" stale rymował: „jędza", to cywilizacja dzisiejsza dodała jeszcze rym nowy: „umysłowa nędza". P. Dworzaczek w *Dzienniku Powszechnym* zdaje się odgrywać właśnie rolę tego „rymu".

Cloaca Maxima.

Ktokolwiek nie doznał jeszcze dostatecznego wstrętu i obrzydzenia w zetknięciu z atmosferą moralną nacjonalizmu, kto chce jednym spojrzeniem zgruntować jego woniejące głębie — niechaj czyta *Nowoje Wremia* albo przynajmniej przegląda pilnie w pismach

dzież ludową do chóru głosów młodzieńczych, jest wiara w pracę. Słowo, wielkie nawet, używane chętnie i brane w duszę ze szczerym wzruszeniem, to jednak dla nich tylko dźwięk rogu, to tylko pobudka,— po nad nim stoi wartość celowego wysiłku.

I nie w błysku myśli szukającej prawdy i nowych dróg gore tu znamię iskry prometejskiej, ale w tym impulsie czynnej odwagi, co każe garstce bezbronnej niemal rzucać się przeciw wszechpotężnej fali ciemnoty i bezmyślności, — fali obejmującej zwartym uściskiem całokształt życia polskiej wsi — z tą wiarą, która i nam narzuca swój okrzyk: — świta!

Irena Kosmowska.

Listy z Galicji.

IX.

Akcja przedwyborcze w Austrji i Galicji. Wzajemne stosunki stronnictw politycznych w Galicji.

Stronnictwa polityczne w Austrji rozpoczęły już gorączkową pracę celem przygotowania się do wyborów. W przygotowaniach tych jednak nie widać wielkich haseł społeczno-politycznych. Tylko socjaliści wysunęli szereg reform, których się domagali od dawna, i które nie zostały doprowadzone do końca; wspomnę tu tylko o ubezpieczeniu na starość i o ochronie pracy, kobiet zwłaszcza. Socjaliści przedstawili też szereg wniosków konkretnych zmierzających do uzdrowienia finansów państwowych, przez odpowiednie reformy podatkowe, któreby podniosły dochody nie obarczając zarazem klas pracujących.

W parlamencie austrjackim jednak niema, poza socjalistami, większych stronnictw postępowych i radykalnych. Są tylko małe grupy posłów sprzyjające reformom socjalno-politycznym. Okoliczność ta utrudnia ich przeprowadzenie.

Stronnictwo chrześcijańsko - socjalne, bojąc się stracić pewną ilość mandatów, pragnęło wejść w porozumienie z liberalnymi centralistami niemieckimi, dla wspólnego zwalczania socjalistów, porozumienie to jednak nie zostało, osiągnięte całkowicie. Stronnictwo chrześcijańsko-socjalne szarpane jest wewnątrz przez liczne rozterki, które podczas wyborów mogą je znacznie osłabić.

W Czechach nastąpiła dorywcza konsolidacja stronnictw „narodowych", skierowana przeciwko socjalistom. Wątpliwem jest jednak czy będzie trwała.

Największe ożywienie panuje w Galicji. Pomiędzy konserwatystami zachodnio-galicyjskimi, demokratami bezprzymiotnikowymi a ludowcami zawarty został cichy sojusz przeciwko narodowej demokracji, któremu pomaga podobno namiestnik Bobrzyński, chcący się oprzeć na większości Koła z przedstawicieli tych stronnictw złożonej. Natomiast nieprawdą jest, aby prezydent Leo wraz z posłami Daszyńskim i Grossem wzajemnie zapewnili sobie poparcie. Przeciwnie, prezydent Leo intryguje przeciwko socjalistom, zwłaszcza zaś przeciwko posłowi Daszyńskiemu.

Prasa narodowo-demokratyczna atakuje gwałtownie namiestnika za to, że ośmiela się pertraktować z jej przeciwnikami. Przewiduje ona zapewne swoją częściową porażkę, która jest prawdopodobna.

Polskie Stronnictwo Postępowe stawia we Lwowie dwu kandydatów, panów Śliwińskiego i Lisiewicza; pozatem postawi jeszcze pewno ze trzech kandydatów na prowincji.

Ludowcy spodziewają się zyskać kilka mandatów. Fronda ludowa wysuwa kilku swoich kandydatów.

P. Stapiński pragnąłby mieć jaknajwięcej posłów — włościan, którymi łatwiej mu jest kierować. Fakty jednak wykazały, że w większości wypadków, włościanie w parlamencie słabo się orjentują i dlatego wybór ich jest niekorzystny dla interesów kraju.

Włościanie są dość uświadomieni, aby się orjentować w tym, jakie stronnictwa bronią naogół ich interesów, sami jednak nie są w stanie decydować w skomplikowanych sprawach prawodawczych i administracyjnych w parlamencie. Są oczywiście wyjątki, ale nieliczne.

Sympatycznym objawem jest to, że sami wło-

---

polskich streszczenie brudnej kampanji, prowadzonej przez organ p. Suworina przeciw instytucjom i szkołom polskim w Moskwie i Petersburgu.

Uczucia, których dozna, streszczają się w jednym słowie: ohyda.

Otworzą się przed nim jakby jakieś poziome i plugawe podwoje, wiodące w podziemia, pełne chlupotów bagnistych, smrodliwych wyziewów, oślizgłych snowań, syków gadzinowych i szczurzego chrobotu.

Niech się nie wzdryga i nie otrząsa: nastroje, co go tak niemile rażą, stanowią pono zupełnie normalny stan psychiczny współczesnych społeczeństw, jeśli mamy wierzyć swojskim ich propagatorom, pp. Dmowskiemu i Balickiemu.

A kiedy, na tle wylotów kloacznych, zamajaczą ohydne larwy dziennikarzy, rozwłóczących kał i błoto na ostrzach stalówek — niech wie, że to są nacjonaliści przy robocie.

A nacjonalizm to grubego kalibru, rdzennie rosyjski. Właściwa Rosjanom „szeroka natura", którą zachwyca się pewna część naszych mistyczno-lewicowych snobów — pozwala tym panom *plewat'* na elementarną przyzwoitość, nie krępować się żadnymi względami i łgać, łgać żywiołowo, niepohamowanie, spazmatycznie. Ci wirtuozi potwarzy potrafili dokazać istnego cudu: nanizać na jedną czerwoną nić „polskiej intrygi" motywy zupełnie rozbieżne i sprzeczne, powiązać razem w jeden snop niemieckich jezuitów i polskich radykałów i rzucić tę nową zupełnie sensację na rozbujałe flukta nacjonalistycznej chuci.

Niedość na tym. Dokoła sprawy ks. Wiercińskiego dźwignięto istną piramidę podstępnych fałszów. Działacze z *Nowego Wrem.* przywiedli dwóch Litwinów z pod ciemnej gwiazdy, jakichś pp. Markunasa i Smilgę, gotowych poświadczyć, że katolicyzm polski w Petersburgu i Moskwie oprymuje katolików litewskich. Spróbowano, jak widać, wsunąć klin zjadliwych poduszczeń pomiędzy zgodne dotąd zespoły polsko-litewskiej parafji; nikczemna ta robota zawczasu została zdemaskowana przez posła gen. Babiańskiego, który, choć postępowiec i „kadet", nie zawahał się w tym wypadku stanąć w obronie katolickiego gimnazjum św. Katarzyny, piętnując oszczerców ostrymi słowami w *Dzienniku Petersburskim* i *Rieczi.*

Obaliwszy punkt po punkcie napiętrzone mozolnie piramidy fałszów i potwarzy, sprowadziwszy fakty życia polskiego w stolicy do ich właściwych granic, poseł Babiański kończy taką uwagą:

„Jeżeli dodać, że sprawa nie kończy się na oszczerstwie, że celem tej akcji jest steroryzowanie nietylko prześladowanych, lecz wszystkich, mających coś ze sprawą wspólnego i kontrolujących osób, nawet na najwyższych szczeblach się znajdujących, które z konieczności są bardzo czułe na tego rodzaju denuncjacje, to oczywistą jest rzeczą, że nie chodzi tutaj o wyjaśnienie prawdy, lecz o przedsięwzięcie pewnych środków represyjnych. Setki zamkniętych towarzystw, instytucji kulturalnych i szkół, które powstały z niesłychanym wysiłkiem, dosadnie ilustrują ten stan.

ścianie, na konferencji stronnictwu ludowego, zwrócili uwagę p. Stapińskiemu na ujemne skutki wybierania chłopów na posłów.

Podczas ostatnich wyborów do parlamentu w 1907 r. namiestnik hr. Andrzej Potocki popierał narodowych demokratów, obecnie poparcia tego mieć nie będą. Zresztą w samej opinji kraju nacjonaliści galicyjscy stracili dużo; dlatego też wyniki wyborów mogą być dla nich niekorzystne.

Prawdopodobnie też i moskalofile stracą dużo posłów, gdyż nie będą mieli poparcia namiestnika, jak w 1907 r., oraz dlatego, że bardzo się skompromitowali w paru procesach. Panowie Barwiński i Studziński cofnęli swoje kandydatury.

Akcja ich, jak to powiedziałem w jednym z listów poprzednich, nie ma żadnego wpływu wśród Rusinów.

Jakkolwiek akcja przedwyborcza w Galicji jest już w pełnym toku, to jednak nie ujawniła ona żadnej myśli politycznej wśród stronnictw mających swoich reprezentantów w Kole Polskim.

Zdają się one pragnąć jednego tylko — konsolidacji samego Koła, usunięcia z niego rozterek; pozatym jednak nie wypowiadają żadnych pragnień, nie dają żadnych wskazań na przyszłość.

Tylko socjaliści i członkowie polskiego stronnictwa postępowego posiadają program działania.

Stanowisko ministra Głąbińskiego jest bardzo niepewne, poza narodową demokracją nikt go nie popiera.

Marszałek i namiestnik są wyraźnymi jego przeciwnikami. Sam zaś zaszkodził sobie dużo w opinji, pozostając w gabinecie Bienertha, po rozwiązaniu parlamentu.

Ludwik Kulczycki.

O kwestji flamandzkiej uwag kilka.

Jednym z ciekawych przejawów ruchu narodowościowego w zachodniej Europie — jest ruch flamandzki. W piśmiennictwie polskim dotąd nie można było dostrzec żadnej o nim wzmianki. A jednak zasługuje on z pewnych względów na szczególną naszą uwagę, gdyż konsekwencje z niego wypływające mogą być dla nas drogowskazem w przyszłości. Historja jego rozwija się na tle ogólnego stanu społeczeństwa belgijskiego. Przeto mówiąc o ruchu, postaram się o możliwie szerokie oświetlenie tego tła, na którym on się rozwija. Bezstronny badacz mimowoli musi natknąć się na pewne trudności — a mianowicie na brak bezstronnej oceny w dziełach tej kwestji poświęconych. Większość dzieł nosi charakter polemiczny — a w dziedzinie polemiki bezstronność zanika, częstokroć bez śladu. Wyciąganie zaś wszelakich wniosków w danej kwestji jest niemożliwe, gdyż kwestja sama jest w toku. Ograniczę się przeto do krótkiej historji i charakterystyki tego ruchu.

* * *

Jak wiadomo, w skład obecnego państwa Belgijskiego wchodzą dwie narodowości: flamandzi i walloni, (plus domieszek ludności niemieckiej u granic). Jeszcze u starożytnych historyków spotykamy podział Belgji na dwie części rzeką Lys—jedną nazywano „Flandre flamingant" z powodu języka używanego przez ludność, drugą zaś „Flandre gallicant", gdyż mówiono tam językiem, zbliżonym do francuskiego. Podział ten istnieje do dziś dnia Od jak dawna on się datuje, czy powstał pod wpływem czynników etnograficznych, czy historjozoficznych, jest to kwestja dotąd nie rozwiązana, zaś wiemy tylko z pewnością, że w XVIII stuleciu granica etnograficzna była ta sama co i teraz: w jednej dominował element walloński, w drugiej flamandzki. W okolicach Ypres i na północ można było zauważyć domieszek ludności Saksońskiej. W dużych miastach jak Bruksella, Antwerpja, Gandawa, Bruges, Louvain, Ypres ludność miała charakter mięszany. Wpływał na to niewątpliwie handlowy charakter miast oraz pewne przyczyny historyczne. Hiszpanie i Austryjacy, którzy posiadali ten kraj w swym ręku do końca XVIII stulecia stwarzali napływ elementów obcych w postaci armji. Ale fakt ten bynajmniej nie zmniejszał zasadniczego podziału ludzkości. Statystycy świadczą, iż w końcu

---

Tak wygląda w życiu realnym urzeczywistnienie polityki narodowej, i mimowoli nastręcza się pytanie, na co komu to potrzebne?"

Ks. Wierciński wierci.

Bezpośrednim bodźcem do kampanji nacjonalistów rosyjskich przeciw instytucjom polskim w Cesarstwie była działalność ks. Wiercińskiego w Moskwie.

Ks. Wierciński, T. J., postać to wielce niejasna i niemiła i wyznać musimy, że ten „męczennik idei"— bo go z granic państwa wydalono — nie budzi żadnego współczucia.

Opinja polska nie lubi jezuitów, zwłaszcza zakapturzonych. Ks. Wierciński jest nietylko takim jezuitą, ale nadto ma polskie nazwisko, będąc z pochodzenia Niemcem, a z uczuć i powołania — rzymskim patrjotą.

Rozmiłowany widocznie w konspiracji, plątał się ks. Wierciński w sprzecznych i bałamutnych zeznaniach, dowodząc raz, że celem jego jest walka z polonizmem w parafji moskiewskiej, to znów — prozelityzm pośród staroobrzędowców i ekspansja wśród nich kultury polskiej. Tymczasem okazuje się, że polska część parafjan żywiła doń zasadne urazy za *kulturtraegerstwo* w stylu kardynała Koppa, zaś tak miarodajny organ, jak *Przegląd Katolicki* wytyka mu bez ogródek stanowisko wrogie Polakom. Komunikat urzędowy Agencji petersburskiej donosi, że ks. Wierciński na śledztwie „wyraził zamiar starania się o pozwolenie na pobyt w Rosji celem prowadzenia walki z polonizmem w kościele". Gdy jednak pomimo to kazano mu Rosję opuścić, sprytny jezuita, znalazłszy się w Galicji, przedzierzgnął się z Niemca w Polaka i w listach, drukowanych w *Czasie*, jął manifestować polskie swoje uczucia, co nasza opinja przyjęła nieufnie ale potulnie.

A tymczasem na opuszczonym przez jezuitę miejscu powstała i rośnie wrzawa niebezpiecznej dla nas kampanji.

Prostą bowiem koleją rzeczy domniemany „tryumf Kościoła katolickiego" stał się tryumfem *Nowego Wrem.* i rozgromem instytucji polskich w Cesarstwie... Taki jest bilans działalności i krętactwa ks. Wiercińskiego, który, jak się teraz okazało, należy do prowincji Krakowskiej Tow. Jezusowego, pod którego adresem, zgodnie z całą oświeconą opinją polską, wypowiadamy życzenie, aby nadal hamowało swój *Drang nach Osten*, jeśli nie ze względu na dobro sprawy polskiej, która go nie obchodzi, to przynajmniej z uwagi na interes tutejszego kleru, który w tej kwestji jednakowego jest z nami zdania.

XVIII stul. stosunek pomiędzy ludnością był następujący: 74,5 proc. flamandów i 25,5 proc. wallonów. Podział ten na dwie narodowości nie jest czysto językowym tylko. Każda połowa ma swój odrębny charakter, swoją odrębną kulturę. Flandrja jest krajem rolniczym i mówi po flamandzku, Brabancja, czyli część wallońska, używa języka francuskiego, jest krajem przemysłowym i ciąży ku kulturze francuskiej.

Jak się zapoczątkował ruch flamandzki? Trudno na razie dać na to wystarczającą odpowiedź, ponieważ w pewnych wypadkach zaciera się granica pomiędzy formą kulturalną i formą polityczną tego ruchu. Nim więc przystąpię do historji ruchu politycznego, oświetlę tło kulturalne, na którym ten ruch się rozwinął. Do XVII st. zatargi na tle różnic językowych w Belgji wcale nie istniały. W roku 1676 ludność Ypres protestuje przeciwko nominacji przez Ludwika XIV, biskupa, który ignorował język ludowy. W okresie tym widzimy, iż język flamandzki w dużych miastach był uważany za coś gorszego od francuskiego; arystokracja flamandzka zarzuca go całkowicie, w miejscach publicznych wstydzą się go używać. Nieco później pierwszy trybunał kraju „Rada Brabancji" pozostawiła obu narodowościom do wyboru język w jakim czynności administracyjne chciałby załatwiać. Walloni, flamandzka burżuazja i szlachta — używają francuskiego, prosta ludność i mieszczaństwo Flandrji posiłkują się flamandzkim; wśród prostego ludu język ten został zachowany. Urzędnicy rządowi byli zobowiązani posiadać jednakowo dobrze obydwa języki. Ale nieco później w łonie rządu zjawia się opozycja— idea tolerancji językowej zaczyna stopniowo zanikać. W roku 1778 zabroniono używać po raz pierwszy języka flamandzkiego w trybunale Lorswaren. Po rozruchach 1786—1787 roku kierunek antyflamandzki wśród rządu bierze górę. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę wzajemny stosunek obu narodowości, to możemy skonstatować, że walka jako taka pomiędzy tymi dwoma narodowościami dotychczas nie istniała. Dalej coraz gorsze ciosy prześladowcze spadają na język flamandzki. W roku 1794 rząd francuski usiłuje połączyć wszystkie narodowości w skład państwa wchodzące przez wspólny język (Abbé Gregoire — „l'idée irrealisable d'une langue universelle qui est dans son genre ce que la pierre philosophale est en chimie"). Podczas pierwszego konsulatu, t. j. za czasów rządów Napoleona Bonaparte — wzmocniono prześladowanie tego języka: wyrugowano go całkowicie z urzędów, wydawanie czasopism i dzienników było możliwe tylko pod tym warunkiem, że jednocześnie wychodził przekład francuski, aby czasopisma „mogły być jednym ze środków rozpowszechniania wiedzy języka francuskiego".

Porażka pod Waterloo (1815) kładzie koniec tyranji Napoleona we Flandrji. Francuzi, niszcząc język ludności, nie zdołali go wyrugować całkowicie — pozostało nauczanie początkowe, które nie mając poparcia ze strony rządu francuskiego, upadało coraz bardziej.

Podczas tych przejść język flamandzki nie pozostał bez obrońcy — obrońcą tym był kler. Kiedy prawie wszystkie klasy społeczne zarzucały swój język — chętnie zmieniając go na francuszczyznę — kler wiejski, pochodzący z ludu, twardo stanął w jego obronie. Dzięki temu utrzymało się szkolnictwo ludowe. Z braku innych książek, katechizm, książka do nabożeństwa i życie świętych, stanowiły jedyną strawę duchową. Ciekawe, iż rola kleru obecnie się zmieniła. Dziś, gdy ruch ten przyjął formę polityczną i jest nawskroś demokratycznym—kler go zażarcie zwalcza.

* * *

Flamandzi mówią językiem zbliżonym do holenderskiego (różni się ortografją i wymową). Do roku 1830 nie istniała żadna różnica pomiędzy językiem holenderskim i flamandzkim. Dopiero za panowania Wilhelma I, gdy język flamandzki został na nowo uznany za państwowy na równej stopie z francuskim, powstają różnice dzięki zmianom w gramatyce flamandzkiej wprowadzonym. Za Wilhelma wprowadzony został termin „niderlandy" (neerland) zamiast Flandrja i Hollandja, gdyż ten pierwszy lepiej odpowiadał ideałowi połączenia dwóch państw w jedno. Za Wilhelma I również powstają uniwersytety w Gandawie, Liège i Louvain.

Język niderlandzki zaczyna się szerzyć wśród ludności Gandawy i Antwerpji. W r. 1819 ogłoszono dekret królewski, ułożony w 1814 r., który rozkazywał używać języka ludowego przy załatwianiu czynności administracyjnych tam, gdzie język francuski nie jest znany. Ale wszystko to było wstępem do więcej radykalnego prawa 1823 roku, które brzmi, jak następuje: „żaden inny oprócz języka ludowego nie może być używany w urzędach". Wprowadzenie prawa tego w życie natrafia na opór sfrancuziałej arystokracji i szlachty. Od tej chwili jednak język flamandzki zapanował we Flandrji, francuski w wallońskiej części — Brabancji. Dalej następuje szereg radykalnych reform, między innymi w r. 1829 reforma szkolna. Jean François Willems — pionier politycznego ruchu flamandzkiego, stara się go zrobić możliwie popularnym, korzystając z liberalizmu Wilhelma. Rozpoczynają się zatargi pomiędzy Holendrami i Flamandami. Wtedy właśnie zmienia się polityczne oblicze kleru. Oburzony na agresywny liberalizm króla i obawiając się zaniesienia przez ruch flamandzki idei protestanckich, kler katolicki zaczyna stawiać zacięty opór ruchowi, który sam przez pewien czas propagował gorąco. Walka pomiędzy wallonami i flamandami zaczyna przybierać ostrzejsze formy. Pod wpływem promieniowania idei rewolucji francuskiej z 1830 — Belgja zaczyna się burzyć. 25 sierpnia wybucha rewolucja, Belgja odrywa się od Hollandji i po krwawej walce staje się państwem niepodległym (4 października 1830 r.).

(D. n.).

Bruksella, 24/III. *Edmund Nowolski.*

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

IX.

C z y n i s ł o w o. Kazimierz Wielki Wyspiańskiego, słuchając mowy, wygłoszonej na swomi pogrzebie, cisnął w pierś mówcy młotem. Był to godny „króla kmiotków" nietakt i fanfaronada. Na popularnej niezgodzie słów z czynami buduje Wyspiański swoje efekty. To naturalnie trafia odrazu do przekonania i rozumu tłumów. Gadasz o zbawieniu ojczyzny, a nie robisz powstania — to przecież takie proste. Dziwi mnie tylko, że Wyspiański nie wstydził się w tak tani sposób „mieć rację".

Słowa mają swoją odrębną autonomię i razić mogą nie wtedy, gdy się nie pokrywają z czynami, lecz gdy są same przez się głupie i banalne. Wolała więc Królewska Mość, zamiast robić awanturę, łagodnie powiedzieć: Ależ mój panie, co pan plecie! — albo powiedzieć lepiej to, co było do powiedzenia. Jeżeli gdzie zachodzi niezgoda między słowem a czynem, to niezawsze słowa są winne; trzeba wejrzeć, czy może czyny odpowiadające tym słowom nie są przestarzałe, czy może cały aparat nie jest już do niczego. Poczciwe słowa spełniają wtedy rolę wiernego echa pośmiertnego, nie wiedzą lub nie wierzą, że deklamują już tylko napis na nagrobku — pocóż im wymyślać: słowa! (tak jak się wymyśla: człowieku! człowieku!).

„Jeden tylko, jeden cud"... W pewnej czytelni katolickiej tak interpretował prelegent ideę „Wesela": Gdybym tak wszystkim tu zebranym zaproponował, byśmy pojechali złożyć hołd Ojcu Św. — wydałoby się to nieprawdopodobnym, śmiesznym, a jednak byłby to czyn, byłoby to wyłamanie się z pod pewnej hipnozy... Ten pan niebył tak dalekim od prawdy. „Wesele" opiera się na zarzucie braku wiary, braku woli do nagłej solidarności. Podobnie Tołstoj propaguje powszechne rozbrojenie w ten sposób, że każdy człowiek z osobna porzuci broń i oświadczy: nie chcę zabijać! Taką solidarność niezmiernie łatwo pomyśleć, bo na pozór nic jej nie stoi na przeszkodzie, trzeba tylko zwykłego zbiorowego aktu woli — a jednak ta właśnie najprostsza rzecz może być pono dopiero wynikiem najbardziej skomplikowanej kultury. Tak samo jest przecież i z t. zw. powrotem do natury. A filozof Hartmann wprawdzie jako cel człowieczeństwa postawił ogromny solidarny akt zaprzeczenia woli do życia, czyli ogólne samobójstwo (por. „Homunculus" Hamerlinga) lecz odsunął tę chwilę w nieskończoność i powiedział, że cała kultura (a więc z socjalizmem i t. d.) jest rusztowaniem do takiego stosu całopalnego.

Jestem jednak na tyle utopistą i racjonalistą, aby się temu dziwić i powątpiewać, czy rzeczywiście to błędne koło przesądów i niewiar w cudzą wiarę jest tak nieodwołalnie konieczne.

Karol Irzykowski.

BADANIA NAUKOWE.

Naród a Klasa.

III.

Polska inteligencja jest na ogół, mimo, że jej przystoi narodowi przywodzić, klasą najbardziej... bankrutującą u nas. Wybijają się jednostki, podnosi się nawet poziom jej ogólny, ale brak jakiejkolwiek organizacji, niechęć do związków wszelakich, wybujały indywidualizm, nieraz bardzo mało... indywidualny, brak zupełny przedsiębiorczości niekoniecznie... kupieckiej, sprawia, że inteligencja polska, jako klasa, czy „stan", jest najmniej u nas zwartym kompleksem narodowościowym, że jest rozbita na szereg klas gospodarczych, zawodowych, nieraz wrogich nawet sobie, że trudno więc ująć ją jako jedno ciało.

Jeżeli w najogólniejszym ujęciu rzeczy można mówić o jakimś łączniku tych rozrzuconych zgoła jednostek i grup, to tylko o wzrastającej statecznie samowiedzy narodowej, która spaja. te żywioły niesforne.

Czynnik narodowy wypłynął tu, jako jedyna może, silniejsza *łącznia*, jedyne kryterjum (prócz nieujętej „inteligencji") przynależności wzajemnej. Zresztą wsiąka w tę inteligencję jako „stan", wciąż żywioł młody — chłopski, który nadaje jej zabarwienie swoiste. W Galicji wśród inteligencji polskiej w czasach ostatnich procent nazwisk wybitnie chłopskich wzmógł się nadzwyczaj silnie. W każdej nominacji, wyborze, odczytach, wiecach etc. odbija się to silnie.

Stąd naogół względnie nader wysoki w tym zawodzie stopień pracowitości, poczucia odpowiedzialności zadania swego, twarde postępowanie naprzód. Niewątpliwie, są tego i objawy ujemne, ale jest faktem, że np. niektóre z władz prawniczych, grupujących w sobie żywioły przeważnie nie-chłopskie, są naogół mniej wytrwałe w pracy.

Napływ więc żywiołów chłopskich do warstw „inteligencji", sprawił i sprawia w większym jeszcze stopniu przekształcenie tychże, w kierunku dla narodowej społeczności wielce dodatnim, *nadając jej znamię dążeń celowych i planowych*, dążeń, nie zważających na żadne przeszkody. Jest to dla „rozbitej" inteligencji polskiej, taki sam ratunek, jak dla ziemiaństwa — parcelacja, owe *memento*, niosące zagładę, lub reformy i poprawę stosunków.

Wartości więc stanowe, chłopskie, daleko wybiegają poza sferę włościańską, zbliżają się raczej ku tej ludowości, czy pojęciu *ludu*, które ideologja współczesna przyjęła, jako równoważnik uczuć i poglądów *powszechnych* narodowych. Lud, — to nietylko klasa włościańska, lecz pewne niewątpliwe cechy narodowe, właściwe „powszechności społecznej", te cechy, które zrodziwszy się w polskim włościaństwie, przeszły następnie, już zróżnicowane, w wartości innych klas i grup społecznych, stając się w ten sposób — wartością prawdziwie powszechną. Przejście tych cech, początkowo właściwych sferze włościańskiej jedynie, ułatwiało postępujące wciąż przenikanie warstw średnich i „przednich" społeczeństwa polskiego przez elementy chłopskie, przynoszące z sobą specyficzny pogląd i metody działania.

O tym jedynie pojęciu ludowości mówiliśmy tutaj, bynajmniej zaś nie chodziło nam o „chłopomaństwo", czyli, bezkrytyczne przyjmowanie wskaźników chłopskich, jako dodatnich i naśladowania godnych. Wartość włościańska, której powszechne przyjęcie jest warunkiem rozwoju trwałego, leży nie w czym innym, jak w tendencji postępowania wciąż naprzód mimo wszystko, w nieustannej, wytrwałej, nieustępliwej walce o kulturę i ziemię polską.

Chłop okazał się w tej mierze najbardziej wartościowym materjałem, choć i najbardziej surowym. Gdy ziemianin polski pod wpływem złej lub lekkomyślnej gospodarki wyzbywał się ziemi i majątku, nie rzadko w obce ręce, gdy „inteligent" polski spadał do rzędu „proletarjusza", pracującego za grosz lichy *wszędzie*, gdy mieszczaństwo polskie, niestety, zbliżało się ku ruinie majątkowej i kołtuństwu kulturalnemu pod wpływem zmienionych zgoła form gospodarowania, jedynie chłop polski stan swój posiadania rozszerzał zwolna ale statecznie, mimo, że warunki, w których żył, były możliwie niekorzystne. Obojętności „czynników miarodajnych", więc rządu krajowego w Galicji, potwornym zakusom rządu pruskiego, polityce dwuznacznej w 3-cim zaborze, potrafił przeciwstawić swój głód wieczny gleby, swoją miłość dla polskiej ziemi, swą niczym niepowstrzymaną prężność i pęd w szerz i głąb życia narodowego.

I ten moment, dla chłopa wagi pierwszorzędnej, stał się i życia społeczności polskiej walorem pierwszorzędnym. Rozrost kulturalny i gospodarczy pewnej warstwy jest wogóle zdobyczą ogólno-narodową, cóż dopiero w kraju agrarnym przeważnie—warstwy rolniczo chłopskiej!

I w naszym położeniu, gdy niezależność państwową musimy na razie zastąpić niezależnością i rozwojem sił wewnętrznych narodowych: zwycięzki pochód polskich sfer włościańskich wśród—podkreślamy to—najcięższych, jakie da się pomyśleć, warunków i stosunków gospodarczych i kulturalnych, jest już nie zdobyczą niewątpliwą „stanu posiadania", a wartością „wychowawczą" ogólno-narodową, uczelnią postępowania po linji *największego oporu*, przykładem, że nawet w najgorszych warunkach zewnętrznych, nie należy rąk opuszczać, a owszem, iść krok za krokiem i morga za morgą.

I to być powinno — wartością i „drogowskazem" *powszechnym*, łączącym wszystkie warstwy narodowe na terenach działania odrębnych, wartością, której obecnie stróżem nieprawdopodobnej pilności jest u nas chłop, ale której „rycerzami" stają się i staną się inne warstwy a jednostki.

Istnieją tedy wartości, najzupełniej *realne*, działające w kierunku narodowego spojenia klas najprze-

różniejszych i w pewnych warunkach rzeczywiście walczących ze sobą. Walory te idą od warstw „dolnych", dalekie jednak od zwalczania w czambuł warstw „górnych", które przyjmują, bo przyjąć muszą, jeśli iść naprzód mają, ich metodę życia i działania, jako jedynie realny i pozytywny postulat rozwoju w naszych warunkach. Walory te nie leżą w deklamacji, ideałach, koturnach i uczuciu marzycieli, a owszem w kategorjach ekonomicznych nawet, w każdym razie w pełnej rozwagi orjentacji i wyborze środków, najprędzej do celu wiodących.

Walory te — nie zapominajmy — idą od najbardziej trzeźwej warstwy w narodzie, od *chłopa* polskiego na *ziemi* polskiej, który instynktownie, czasem bardzo bezwzględnie, ale zawsze apodyktycznie i bez apelacji odrzuca wszelkie mrzonki i idealizmy, reagując jedynie na metę najbliższą, zgoła osiągalną i rzeczywistą. Wiedzą o tym aż nazbyt dobrze wszystkie organizacje ludowe i ci także, co szli na wieś z ideologją „romantyczną", wobec której chłop odnosi się bardzo przychylnie ale... nie bez pewnej ironji, dającej się ująć trywialnie w popularnym: „ty mów — a ja... zdrów".

Zwycięstwo więc wartości ludowych, w tym znaczeniu, jakie ustaliliśmy wyżej, łączy się ściśle z *realnym* pojęciem życia narodowego i jego zjawisk, „z pozytywną robotą od podstaw", jakiej przedstawicielem najdoskonalszym jest chłop właśnie.

Powszechne i trwałe może być jedynie to, co jest realne, co więc ma widoki rychłego urzeczywistnienia. Walory ludowe mają właśnie cechę realną, — może zbyt czasem realną, ale nie zapominajmy, że w naszym położeniu politycznym, które, niestety, rodzić musi „ideologję idealną", [1]) wszelki realizm jest „popchnięciem sprawy naprzód", jest zbliżaniem się ku celowi drogą osiągań najbliższych i najłatwiejszych.

Dynamicznie rzecz biorąc, życie nasze społeczne w niemożebności osiągnięcia celu najdalszego i niezależności państwowej, musi się zmienić w osiąganie planowe i celowe tego, co się osiągać da dziś i jutro najbliższe i to jest z fatkycznego punktu widzenia właśnie *realne*. Inaczej przyszłoby w oczekiwaniu celu mniej lub więcej nieskończenie od nas odległego założyć ręce i tracić chyba to, co się zyskało i co się zyskać może. A to byłoby w naszym życiu i bilansie narodowym wielce ujemne i lekkomyślne.

Może największe więc, bo istotne tryumfy święci w tym ujęciu rzeczy program organicznej roboty od podstaw, pozbawiony zresztą zabarwienia swoistego lat po 63, ze względu na doświadczenia chwili późniejszej.

Najpowszechniejsze wartości ludowe w znaczeniu wyżej zaznaczonym, są właśnie najrealniejsze, są *etapowym* krok w krok podążaniem drogą ciągłych stawań się i osiągań. Uważam te wartości nietylko za łącznię narodową ogólną, ale i za utrwalenie naszych dążeń w kierunku podyktowanym każdorazowo, rzeczywistym „stanem rzeczy" i stosunków. Co jest realne, potrzebne, aktualne, rzec nie można z góry; miałem sposobność już nieraz zaznaczyć, że i agitacja militarna w *pewnych* warunkach może być najbardziej realistycznie pojętym czynem narodowym.

Ale tu chodzi nam o co innego, o to, że wielką, powszechną zdobyczą narodową, którą w głównej mierze zawdzięczamy naszym sferom włościańskim, jest odnoszenie się do swych zadań, celów i metod postępowania *realnie*, czyli z uwzględnieniem zawsze tej linji granicznej, która oddziela możliwe od niemożliwego, prawdopodobne od nieprawdopodobnego. Jest to wytyczna ogólna w każdej sferze życia zbiorowego. Śród sędziów np., przeprowadzających w Galicji pertraktację spadkową włościańską, tak niesłychanie ważną ze względu na możność zapobieżenia postępującemu drobnieniu własności chłopskiej, są dwa typy ludzi, jedni: którzyby chcieli ustawy, zabraniającej wręcz działów chłopskich poniżej pewnego minimum obszaru, a którzy w braku tejże dzisiaj, uważają wszelką działalność zapobiegawczą za kroplę w morzu i wobec tego nie robią nic w tej mierze — i są drudzy, którzy uznając zresztą potrzebę *radykalnej* reformy, niemniej i dzisiaj swą znajomością rzeczy i wpływem, drogą połowicznych usiłowań i w granicach swej władzy daleko sięgającej poza... przepis prawny, dokładają wiele i skutecznych starań, aby przy działach gruntów powołać do życia zdrowe i ekonomicznie racjonalne jednostki gospodarcze.

Tak jest we wszystkim w naszych warunkach politycznych. Można się zapatrzyć w cele nieskończone i dalekie, choć niezbędne w wszechstronnym rozwoju narodowym i można oślepnąć od ich siły blasku niewątpliwej, ale tymczasem trzeba iść naprzód w drodze czasem choćby „przeciwnej", byle w rezultacie dla narodowej społeczności korzystnej i trzeba stwarzać codziennie, nieodzowne wartości życia zbiorowego i jednostkowego. Tę naukę daje nam najogólniejszy walor klasy włościańskiej, który winien stać się jaknajprędzej walorem ogólno narodowym, a nie bynajmniej oderwną konstrukcją publicystyczną.

Dr. Leon Biegeleisen.

[1]) Szerzej o tym pisałem w „Widnokręgach" Zeszyt 4 i 5 z II rocznika (1911.)

Robert P. Porter: **„Niebezpieczeństwa przedsiębiorstw miejskich".** Przekład z angielskiego Z. A. K.

Tłómacz w przedmowie podkreśla doniosłść zaznajomienia się w chwili obecnej, w przeddzień samorządu, szerszego ogółu z sprawami społecznymi. Jednocześnie zaś wyraża on obawę, byśmy biorąc się gorąco do roboty nie dali unieść się rozpędowi ku zbytniemu rozszerzenie działalności władz miejskich. Dążność tę przewiduje ze strony dwóch prądów, mających przeważny wpływ w naszym społeczeństwie: świadomego dążenia do uspołecznienia organizacji ekonomicznych z jednej strony, — z drugiej zaś nieświadomej dążności do ograniczenia wpływów biurokracji. W dążności tej widzi niebezpieczeństwo tym groźniejsze, że od szeregu pokoleń nie dano nam zdobywać w tym kierunku doświadczenia.

Jako przeciwwagę wobec obu tych prądów tłómacz uważa za pożyteczne przedłożyć polskiemu ogółowi pracę znanego ekonomisty amerykańskiego.

Porter jako amerykanin, mówi przedewszystkim o stosunkach panujących w jego ojczyźnie, kraju wielkich kapitalistów i wielkiej przedsiębiorczości, gdzie lekkomyślna a często i nieuczciwa gospodarka miejska niejednokrotnie doprowadzała przedsięwięcia miejskie do bankructwa.

Inaczej układają się stosunki w Niemczech np. gdzie przedsiębiorstwa miejskie rozszerzyły się znacznie w ostatnich czasach.

Wobec tej różnicy zdań i faktów tłómacz robi uwagę, której słuszności odmówić niepodobna, że kwestji zakresu działania przedsiębiorstw miejskich nie podobna rozwiązywać schematycznie, jednakowo dla wszystkich krajów i miast, bez uwzględnienia różnic miejscowych. Wreszcie, powołując się na raz już cytowane Niemcy, gdzie samorząd miejski tak pomyślnie wpłynął na rozwój handlu i przemysłu p. Z. A. K. zachęca do usilnej pracy w zarządzie miast i dążenia do grupowania w nim najlepszych sił krajowych.

Porter, widząc wzrastającą w ostatnich czasach dążność angielskich i amerykańskich zarządów miejskich do prowadzenia przedsiębiorstw handlowych

i przemysłowych, zrażony ich lekkomyślną i hazardowną gospodarką, obarcza tymi wadami kierownictwa samą istotę systemu; twierdzi on, że przedsiębiorstwa miejskie jako oparte na funduszach, pobieranych od opodatkowanych obywateli winny być prowadzone z całą ostrożnością i uwzględniać interesy *wszystkich* obywateli; wszelkie spekulacje handlowe, czy przemysłowe, sprzeciwiają się zdrowym zasadom rządzenia. Zdaniem autora, opieranie przedsiębiorstwa na kredycie publicznym, okręgowym, czy gminnym, prowadzi do zależności finansowej, osłabia kredyt miejski i krępuje naturalny rozwój handlu i przemysłu; korzyści związane z przedsiębiorstwami miejskimi jak: tańszy kapitał, lepsza obsługa i wyższe wynagrodzenie płacy nie mogą zrównoważyć ich złych stron. Według p. Porter'a, prawdziwy duch municypalny nie ma nic wspólnego z nabywaniem czy eksploatacją przedsiębiorstw nie związanych z powodzeniem wszystkich obywateli państwa; przeciwnie, przedsiębiorstwa prywatne, mogą się pomyślnie rozwijać i lepiej odpowiadać potrzebom powszechnym. — Zadanie zarządów miejskich pragnie on przeto ograniczyć do poprawy warunków zdrowotnych, podnoszenia kultury i utrzymania ducha obywatelskiego w zarządzie, zdolnego, kierować stowarzyszeniami, przyczyniającymi się do postępu narodu.

P. Porter wychodzi z założenia, że cały postęp ludzkości jest wytworem oddzielnych jednostek i usiłuje dowieść, że polityka municypalna miast angielskich, zarówno, jak zapoczątkowana w Rosji polityka powszechnego wywłaszczenia, jak zaprowadzenie własności państwowej w Australji, zabija zupełnie przedsiębiorczość prywatną.

Mówiąc z kolei o przedsiębiorstwach miejskich w Angli i Stanach Zjednoczonych, autor twierdzi, że municypalności tamtejsze znajdują się w chwili obecnej na rozdrożu, zaczynają bowiem zdawać sobie sprawę z popełnionych błędów. Atoli przyczyn rozstroju tego, szukać należy w lekkomyślności, lub niedbalstwie zarządów, wreszcie w podkładzie politycznym: chęć zdobycia głosów u wyborców danej partji prowadzi tam do dawania przez radnych miasta obietnic i zobowiązań do różnych dobrodziejstw, których urzeczywistnienie bez poważnych podstaw rachunkowych musi narażać miasta na nieuniknione straty.

P. Porter zastanawia się szczegółowo nad zawikłaniami, spowodowanymi przejściem tramwai elektrycznych w ręce władz miejskich w Anglji, nad skrępowaniem przemysłu elektrycznego w tych samych warunkach, nad upadkiem telefonów w rękach państwa, nad zbyt kosztownym przedsiębiorstwem budowy miejskich domów robotniczych w Londynie, wreszcie upaństwowieniem kolei żelaznych, wykazując w każdym z tych przedsiębiorstw popełnione przez municypalność błędy.

Zreasumowawszy, dochodzi autor do wniosku, że ani w Anglji, ani w Ameryce przedsiębiorstwa municypalne nie dały pomyślnych wyników, przyznaje jednak, że inne państwa Europy, umiały wyrobić w sobie odpowiednie siły administracyjne.

Przyznając p. Porterowi sumienne opracowanie bogatego materjału cyfrowego, nie możemy się zgodzić na przesadne jego zarzuty wymierzone przeciwko organizacji przedsiębiorstw miejskich. Oczywistą jest rzeczą, że każde przedsiębiorstwo, — miejskie czy prywatne — powinno mieć uczciwe i umiejętne kierownictwo, sumiennych urzędników, oraz dokładną rachunkowość. Tak jednak zorganizowane przedsiębiorstwo miejskie, rozporządzając przytem większymi kapitałami i kredytem, zdołają spełnić pomyślnie swe zadanie i zapewnić obywatelom tak trwałe i szerokie rękojmie bezpieczeństwa, zdrowia, oświaty i dobrobytu, jakich jednostkowymi wysiłkami zdobyć byłoby niepodobna.

Że nie wszędzie przedsiębiorstwa miejskie dały tak smutne wyniki, jak w Anglji i Ameryce, dowodem przytoczone, w przedmowie tłómacza, jako wzór, niemieckie koleje państwowe, oraz wiele innych przedsiębiorstw miejskich niemieckich eksploatowanych z bardzo dobrymi rezultatami.

Zupełnie świeżo, bo w styczniowym N-rze „*Annales de la Régie directe*" spotykamy przykład niemieckiego miasta *Harpen*, które, aby zapobiec wzrastającej drożyźnie mięsa, zakupiło odpowiednie przestrzenie gruntu do hodowli trzody i prowadzi na własną rękę handel mięsem, dający świetne zyski — a obniżający równocześnie ceny artykułu pierwszej potrzeby dla swych mieszkańców. Za tym przykładem idzie już inne miasto niemieckie *Solingen*, które również wprowadza w życie takie samo przedsiębiorstwo miejskie.

Czyby więc „Spółka wydawnicza", dawszy społeczeństwu naszemu pracę przedstawiającą nietyle niebezpieczeństwa *przedsiębiorstw miejskich*, lecz właściwie niebezpieczeństwa *błędów* popełnionych przez przedsiębiorstwa miejskie w Anglji i Stanach Zjednoczonych, nie powinna postarać się o dostarczenie czytającemu ogółowi przykładów wzorowo prowadzonych przedsiębiorstw miejskich w miastach Zachodniej Europy?

Wszak jeżeli w braku własnego doświadczenia poznanie cudzych błędów może być niezaprzeczenie pożyteczne — to jednak zapoznanie się z przedsiębiorstwami, już istniejącymi i dającymi dobre rezultaty, byłoby chyba bardziej jeszcze pożądane.

Z. Kosiewicz.

KRYTYKA.

Chaos i chaotyczność w poezji Tadeusza Micińskiego.

(Dokończenie).

Sława mistycyzmu Micińskiego przebiegła chyżo całą Polskę, szczególnie po ukazaniu się na półkach księgarskich „Nietoty" księgi tajemniczej Tatr. Nie będę się wdawał w rozbiór dzieł poszczególnych, użyję ich tylko jako ilustracji do zobrazowania myśli, które mi przy czytaniu się nasunęły.

Należałoby rozwiązać dwa pytania. Pierwsze: czy Tadeusz Miciński jest mistykiem? — drugie: czy można go uważać za artystę myśliciela?

Kwestja — czy Miciński jest mistykiem, byłaby łatwo rozwiązalna, gdybyśmy do naszego pojęcia mistycyzmu przyłożyli jako do kryterjum samo pojęcie o autorze po przeczytaniu jego dzieł, w sposób zupełnie bezstronny. Czynić jednak tego nie chcemy, gdyż mogłoby się zrodzić podejrzenie, iż z góry powziętymi zamiarami tendencyjnie przykrawamy autora do chimer oderwanych.

Po przeczytaniu książek Micińskiego, punkt zaczepny myślenia ginie, myśl potargana wisi w próżni unoszona potokiem słów i wystrzępionych, półsennych zjaw.

Wywołać nie możemy ani jednego momentu wzruszeniowego, któryby nam wskazywał drogę wyjścia z matni, w którąśmy nieopatrznie wpadli. Ani jeden obraz nie każe nam choć z artystycznego punktu widzenia zatrzymać uwagi. Wszystko wiruje dokoła, a sama postać autora mglistą się staje i rozpływa w szarość odmętu.

Tak w „Bazylisie", jak w rozprawie „Do źródeł Duszy polskiej" i „Nietocie" wyłowić się nie uda pojęcia stałego, punktu, na którym stanęła książka daj-

my na to o 500 stronach, poświęcona „rozwojowi świata”, a więc mająca na celu nie tylko czysto formalne artystyczne wzruszenia.

Gdy u dotychczasowych mistyków, jak Maeterlincka i Emersona, jasno, wyraźnie rysował się punkt zaczepny dla snucia dalszej ideologji mistycznej, u Micińskiego, przeciwnie, niczego podobnego doszukać się nie można.

Polska! — powie ktoś?

Dobrze, na to możnaby się zgodzić. Lecz jaką jest ta Polska w pojęciu Micińskiego? I tu choćbyśmy sięgnęli do źródeł, po próżnym przewracaniu kartek odejdziemy z „kwitkiem”. Nie ma bowiem Polska jako żyjący organizm u Micińskiego wyrazu stałego, chociażby usymbolizowanego w formy mistyczne; powtarza się ona tam — i to wtedy, kiedy najmniej tego spodziewać się należałoby, sądząc z konstrukcji utworu — jako pusty dźwięk, echo dawne zasłyszanych opowieści moralizatorskich, coś à la Witwicki tylko w „mistycznej” formie.

A może punktem tym jest „dusza polska”, jej przeznaczenie, jako symbol losów ojczyzny? Czyż miałby nim być symbol rozdwojonej polskiej jaźni, — z jednej strony słaby, ułomny Arjaman, a z drugiej potężny i władny Litwor Mag? A może. Lecz sama kreacja gonitwy za jaźnią—tematem jest mdłym, zdatnym zaledwie do akademickich dyskusji.

Żeromski i Katerla dają nam duszę polską taką, jaką ona jest, lub też być może; czy to w Róży, czy w Sułkowskim, czy też w szeregu nowel, ma ta dusza jakieś możliwe drogi swojskie, własne do rozwoju; jej ból jest, rzeczywiście, jej bólem i my to czujemy czytając te rzeczy. „Duma o Hetmanie” np. uderza wprost w serca nasze i budzi w nich polskość, a nigdy nie zwodzi nas na drogi chaosu, jak się to ma z „Nietotą” Micińskiego. Dusza polska chociażby mgłami mistyki spowita, jak u Słowackiego w „Króla Duchu” nie przestaje mimo to działać bezpośrednio i żagiew płonącą wnosić do siedlisk trupich gniazd zarazy narodowej. Budzi ona tam zawsze paniczny lęk, bo budzi sumienie. A czyż zdołają uczynić to satyryczne czy też podniosłe ustępy „Nietoty” miejscami podobne do fraszek o tonie ironicznym? Problem oczyszczenia jaźni polskiej ze skorupy zaropiałej, wypalanie ran zgniłych by krwawić czystą krwią poczęły, to problem wielkiej wagi. lecz zależy od tego, jaką drogą chcemy go rozwiązać.

Rana na ciele Polski w formie wypaczonych do małpiarstwa wad narodowych, to sprawa wymagająca sanacji natychmiastowej. Wpierw jednak gorycz trzeba wyssać do dna, trzeba chcieć samemu wpatrzeć się w sumienie swej Jaźni i to bez uprzedzeń. Rzucać krwawe płaty własnego mięsa w pysk, a potym pokazać serce wyglądające przez oskubaną klatkę, czy bije mocno.

Wówczas wejść można jedynie na szczyt wyżyny mistyki i z serca głaz uczynić trwały po wsze wieki, i przykład dać innym jak trwogę wzbudzać przed szpetotą i kłamstwem. Polska — to nie dowolne pojęcie, prawie, że beztreściwe, forma słowna, bo słów chyba mamy dziś za wiele, ale Polska choćby nawet ta mistyczna, to ogrom bólu i męki, to odkupienie krwią tych wszystkich, którzy obłędnie, nieświadomie, krzyczą Polska! Polska!!, a kupczą po kątach sumieniem.

Inną jest Polska u różnych ludzi, inną ma ją Mickiewicz, inną Słowacki, a inną Miciński. Ten ostatni, powiedziałbym prawie, że zupełnie jej nie ma, bo słowo „Polska” lub też mitologja słowiańska nie jest wcale wyrazem kultury, prawdy narodu. A gdzież koniec, cel...?

Etykietki symboliczne. To nie jest wcale równoznaczne z symbolizmem nawet dźwiękowym chociażby Maeterlincka. Cnotę narodową nazwę takim a takim mianem, bohatera takim a takim naturalnie z obcego języka, aby to wszystko razem przetłumaczone dało pojęcie o symbolicznym znaczeniu mych postaci.

To jest też jego cała mistyka. Posuwa się ludzi symbolicznych nad przepaściami, nad Tajemnicą, koło Polski każe im się stawać w niezrozumiałych sytuacjach, a potem ironiczny uśmiech i na pożegnanie: „Wiem, że mnie nie zrozumiecie, lecz może za lat kilkadziesiąt, kto wie“.

Taką też przyszłość wróży Nalepiński Micińskiemu w artykulo o „Nietocie“. Wszystko to rzeczy bardzo względne, bo dzieła te nie są tak zbyt niezrozumiałe, i owszem, lecz t a k m a ł o j e s t w n i c h d o z r o z u m i e n i a, ż e a ż w s t y d. Ot—słowa, słowa... jakby powiedział, Wyspiański Mistyczny istnieje tu jako słowo przyplątane niepotrzebnie. Chaos słów jeszcze nim nie jest; dowodzi on tylko braku zasobów myślowych i chaotyczności tych które się posiada. Tajemnicą artysty zaś jest nie tworzyć dotąd, dopóki się nie zawładnie zupełnie swymi myślami, bo o ile ma się zamiar pisać cośkolwiek, to uwagę zwrócić należy zawsze na to, iż forma zrozumiałą być powinna, idea zaś niekiedy nie, to ostatnie zależy bowiem od czynników zewnętrznych, jako to: stopień różnicy umysłowej twórcy i czytelnika, ich odrębności indywidualne. Forma zaś nigdy o ile jest szczerym tłómaczem treści, niezrozumiałą być nie może. Zdarza się to tylko u tych pisarzy, którzy chaosem słów zabić i znieczulić chcą myśl płytką lub bezmyślność i nadać jej pozory tajemniczej, mistycznej głębi.

Forma u Micińskiego jest wszystkim, treść posiada wartość podrzędną. Kajdany formy wżarły się tak w ciało, że okup składa niewinna treść i to jest cechą wszystkich utworów Tadeusza Mścińskiego. Powiedziałbym, jest to jego fatalistyczną tragedją, lecz o to go nie posądzam, nie poniżam bowiem jego twórczej samoświadomości.

Kosztem słów zbuduje i Tatry niebosiężne bez treści istotnej w ich pseudosymbolicznym ujęciu, i duszę polską sprzeda mitologii braminów indyjskich, ba! nawet zaczerpnie porównania i to całkiem serjo z opowiadań Coopera dla dorastającej młodzieży. Z tego amalgamatu formy płodzi duszę polską na tle podzwrotnikowego krajobrazu w Tatrach. Nie pomogą tu wykręty w formie uwag „kronikarza“, gdyż czuć to wszystko razem nie mistycyzmem, lecz chyba manją rzucania na płótno farby bez świadomości twórczej.

Czyż odpowiednikiem mistycznych akordów duszy ma być, naprzykład, menażerja w Tatrach, gdzie spotyka się nawet dość sympatyczne okazy lwa (*leo felix*) lub też zapożyczeni z mitologii indyjskiej bogowie, którzy zmieniają się zależnie od tego czy końcowe głoski ich imion mogą się rymować z wierszem poprzednim.

Każda strona „Bazylisy“ czy „Nietoty“ czy też poezji z „Mroku Gwiazd“ roi się od porównań nieznośnie szarpiących ucho, nienawykłe do przesadzonej egzotyczności.

Wątpię czy którykolwiek z poetów indyjskich używa takiej masy nazwisk swych bogów do twórczego transu, by załatać nimi wszelkie możliwe luki.

Nie można wprawdzie odmówić Micińskiemu talentu poetyckiego i to w dość pokaźnym zasobie; przepiękne są bowiem miejsca w jego „Nietocie“, wszystko to jednak wskazuje na brak bezpośredniości przeżyć, na fantazyę wyjałowioną poniekąd z krwi żywej, tchnącej wichrem zaświatów.

Ból, który na każdym kroku staje tam, jako słowo brzmi nieswojo, obco jakoś, a ironia przeładowana porównaniami egzotycznymi zapożyczanymi czy z dzieł sztuki, czy też etnologii, botaniki, gieologii, wskazuje na niesmaczną chęć nadania powagi dziełu przez naładowanie luźnymi zupełnie terminami, wtrąconymi niepotrzebnie. Podobne to jest do egzaminu ucznia, który, pytany, odpowiada odrazu to wszystko, czego na-

uczył się, a więc miesza literaturę z zoologią, gieografię z pismem św.

Rodzi się przy czytaniu takiej książki natarczywe pytanie, czy też autor nie zanadto szybko chce sprzedać swą wiedzę, a może i coś więcej?

Pytania takie mają swą rację w krytyce, gdyż decydują o jego możliwym wpływie a pozatym i wartości społecznej jego dzieł. Im silniej takie podejrzenia ryją się w naszym mózgu, tym bardziej nie dowierzamy autorowi, tym ostrożniej będziemy się doń zbliżali. Utraci on ufność naszą zupełnie.

Nie da nam tego, czego żądamy od prawdziwej poezyi, to jest przynajmniej świadomości tego, iż to wszystko, co czytamy jest *prawdą* człowieka, który to pisał, że dał on nam nie kabotyńskie swe upodobania i nałogi, lecz miernik wartości życiowych — dzieło sztuki.

Minął czas gdyśmy piali hymny na cześć tego, co niezrozumiałe; pozostało to uwielbienie u starych panien z okresu lat 80 i 90, lecz dziś to warte, co prawdę daje, w czym czuć życie szczere, nieskryte pod obsłonkami słów. Forma nam dziś środkiem, a nie celem i z tym przekonaniem i wiarą zwracamy się ku życiu odmłodzeni na duchu, otrząsnięci z dekadenckich mrzonek i niejasności. Nieskończoności mistycznej ekstazy odtrącać nie możemy i nie chcemy, lecz niech ona będzie taką, jak żąda tego dusza zbolała do głębi, jak żąda szczerość. Tam, bowiem, w cichych gajach samotnych, na wyspach bezludnych, kryje się prawda, a wyczuć ją trzeba, bo sama o tym nie trąbi: tu jestem!

Stanisław Baczyński.

Sztylet schowany w formy filigranie.

(„Meandry" Adolfa Nowaczyńskiego).

Kiedy przed dziesięciu laty w senne wody powszechnego odrętwienia spadły pierwsze namiętne, wrzące krople siarki i piołunu z pióra Nowaczyńskiego, zerwała się dokoła nich burza oszołomienia i trwogi: ogół cofał się przed ich gwałtownym ogniem, jak bawół przed ryczącą bombą. Od owego czasu zmieniło się wiele, ale humor i sarkazm towarzyszą ciągle przenikliwemu pisarzowi i świetnemu artyście, który kaduceus Stańczykowski dzierżyć chce z nieustraszoną odwagą „nim dzień nastanie".

Może zmienił się tylko cokolwiek przedmiot jego „sowizdrzalskich pocisków", zyskując na wielostronności, przez rozsunięcie granic spostrzegania i doświadczenia. Pierwiastkowo Nowaczyński wyszydzał wyłącznie sprzeczności, małostki, niepowodzenia bohaterów świata literackiego: autor i jego książka — oto jedyne tematy, które niegdyś za godne swego śmiechu, swej ironji lub swego zdradzieckiego podziwu uważał. Dzisiaj satyra Nowaczyńskiego pielgrzymuje po ludnych, szerokich gościńcach życia społecznego, narodowego, kulturalnego. Oświeca blaskiem złowrogim nie płochą swawolę jednostek, ale ciężkie przywary narodu, uosobione w zjawiskach typowych. Uderza już nie w pajęczynowe siatki osobistych kaprysów, ale w zwarte kolumny zbiorowego fałszu, podpierające sklepienia obłudy społecznej, wyzysku i fanatyzmu. Z poza kaskady sowizdrzalskiego śmiechu, ukazuje się raz po raz zimny błysk stalowych oczu Wielkiego Fryderyka, genjalnie rozumiejącego wszystkie wady narodowe Polski, widzącego wszystkie jej nałogi historyczne i nadużycia, a pomnącego jeszcze straszliwą potęgę Rzeczypospolitej w przeddzień nieszczęsnego upadku.

„Gdyby mi, — powiada gdzieś Nowaczyński, — nad krajem powierzono dyktatorską władzę:

Dziś jeszcze ocaliłbym wszystko od zatraty,
Oddając wszystkich na rok do pruskiej kasarni".

Że rozumie on doskonale współczesne czynniki upośledzenia naszego, świadczy taka np. strofa, wyjęta z pośród wielu:

„Judzą pełni zemsty głodu:
— Wierzy w inne! więc go zabij! —
I wszystkie wonie Arabji
Nie wywietrzą smrodu z wrzodu,
Jakim każdego narodu
Są: ksiądz, derwisz, szaman, rabbi".

Nie mniej bolesne słowo śmiechu i wzgardy ma autor dla tych, co przejąwszy od szamanów i derwiszów kuglarskie obrzędowe frazesy, przybierają sztywne pozy bożków i magów, tumaniąc otoczenie strzępiastą mgłą swej jałowej wyobraźni:

„*Nie to ta* to tamta będzie
W siódmym raju Mahometa
Archaniołem Parakleta..
Takie Mag wydał orędzie
Niech więc raz już jedna siędzie
W stolc mistyczny, ta czy nie ta!
Czeka ją gwiaździsta feta,
Sam Mag Ik-wor jej zagędzie,
Nadpłyną czarne łabędzie
Z rzeki, której imię — Leta...
Tylko w okół szemrza wszędzie
Mak Ty *Nie to ty* poeta!"

Syntezę stosunku swego do losów narodu, do jego niedoli i przyczyn upadku wyraził Nowaczyński w szeregu strof, tak trafnie malujących wypaczenie ideologji współczesnej, że zasługują w całości na przytoczenie i na zapamiętanie:

„Wskażcie mi jeden taki lud na globie,
Coby się tak jak my zablagował
W poezję, tak się na rymach wychował,
Przewlekle cierpiał tak na prozofobie,
I tak się znośnie czuł w potrójnym grobie,
Nimbem rycerskim tak się zmanierował!

Wskażcie mi jeden taki lud na ziemi,
Co obcym oddałby realną pracę
A sam za życia *quiescans in pace*
Siedział z rękami wciąż założonymi,
Słuchał, jak pięknie słowami brzmiącymi,
Sztukami bawią go zdolne pajace.

Wskażcie mi jeden lud na tym padole,
Coby tak łatwo oddawał się frantom
Frazesu dziś dziś, jutro delirantom...
I tak zasłuchał się w skrzypki chochole,
I tak był tkliwy na chrypki warchole,
I tak zapatrzon w romantyczny fantom.

Wskażcież mi jeden lud do krocset czartów,
Coby tak zasnął w wielkości obłędzie,
Tak był poniechan i przemilczan wszędzie,
I tak był pewien laurowych bękartów,
Tak dumny ze swych dawnych malepartów,
A Don Kiszotów podległy komendzie...

Gdy nie wskażecie, to wiedzcie: memento!
Nasz lud ma wszelkie już przed sobą szanse,
By ze świętymi wejść w stałe aljanse...
Polska za życia może zostać świętą...
Lecz ją nie czeka już: *risorgimento*,
Na ziemi Pan Bóg woli Sancho-Pansę".

Memento! groźna przestroga, zawarta w ostatnich wierszach, jest tym samym alarmującym wezwaniem do energji i czujności narodu, które bije z kart „Cara-

Samozwańca" i „Wielkiego Fryderyka". Piętnuje ono zarazem żarem klątewnym tych wszystkich „ojców ojczyzny", którzyby radzi zaprzedać byt rzeczywisty narodu za świętość jego pamięci... pośmiertnej.

Jan Tarczewski.

Bezimienny: **Pieśń Uwodziciela.** Księgarnia St. Sadowskiego, Warszawa, 1910 r.

Po „Pamiętniku uwodziciela" Sörena Kirkegaarda trudno już dać w tej dziedzinie coś nowego i oryginalnego. „Pieśń uwodziciela" Bezimiennego, pisana w formie listów uwodziciela, uwodzonej i jej rodziny, powtarza bardzo znaną historję pewnego nikczemnika i pewnej gąski, która dała się złapać i zmarnowała skarb dziewiczego serca. Pisane to wszystko swojsko, prawie po domowemu, z sentymentem sienkiewiczowskim. Los biednej dziewczyny, która odebrała sobie życie w chwili, gdy uwodziciel jej jechał do nowej ofiary, do nowej uwodzonej, przejmuje współczuciem. Pókiż te powojowe ofiary dadzą się deptać i tratować? O talencie autora, posiadającego najwięcej skłonności do liryki, która właściwą istotę powieści wypacza, trudno coś orzec. Tyle się teraz pisze rzeczy poprawnych, wszyscy piszą poprawnie. Chcemy oryginalnych i potężnych.

Savitri.

NA DOBIE.

Kongres Monistów.

Uzupełniając wiadomość, podaną przed 2 miesiącami, zaznaczamy, że tegoroczny kongres monistów odbędzie się w Hamburgu d. 8 — 11 września. Na porządku dziennym stanie, za inicjatywą Haeckla, sprawa utworzenia *organizacji międzynarodowej* tego ruchu.

Oto spis referatów: E. Haeckel (Jena) „O kwestjach zasadniczych i zadaniach Związku Monistów"; W. Ostwald (Lipsk) „O jedności całej przyrody ze stanowiska energetyki"; S. Arrhenius (Stockholm) „O jedności zjawisk fizycznych i praw przyrody na ziemi i w świecie gwiazd"; J. Loeb (New-York) „O czynnikach fizycznych i chemicznych procesu życiowego na przykładzie zapłodnienia jajka"; F. Jodl (Wiedeń) „O monizmie i zadaniach kultury i etyki współczesnej"; L. Wahrmund (Innsbruck) „Oddzielenie kościoła od państwa"; G. Höft (Hamburg) „Rozdzielenie szkoły i kościoła"; Horneffer (Monachium) „Monizm i wolność". Wstęp na odczyty bezpłatny. W czasie kongresu będzie zorganizowane zwiedzanie muzeów i osobliwości miasta.

Wzywamy Polaków do jaknajliczniejszego udziału w tym kongresie i przystąpienia do mającej się utworzyć organizacji międzynarodowej monistów.

Kierunek ruchu monistycznego dotychczas przedstawia poważne luki pod względem społecznym, mało się mówi o nieszczęśliwym, cierpiącym człowieku, wyzyskiwanym i gnębionym nędzą materjalną, ale i to przyjść z czasem musi, bo ruch społeczny, oparty na prawdzie naukowej, nie może się ograniczyć tylko sferą uczonych i ich zwolenników.

Wszelkich wyjaśnień, dotyczących ruchu monistycznego i Kongresu udziela Biuro Związku Monistów (München, Weinstrasse, s. I), Biuro Austryjackiej grupy Związku (Buchhandlung Brüder Suchitzky, Wien, Favoritenstrasse 57), oraz specjalnie dla Polaków: Dr Aug. Wróblewski, człon. zarz. grupy austryjackiej Zw. Mon. (Paris, rue Dutot 18).

Wanda Cezaryna Woynarowska.

Dnia 15. kwietnia zmarła w Paryżu, w nędzy i zapomnieniu, jedna z tych kobiet polskich, które na słabych barkach umieją dźwignąć wielkie brzemię ofiarnej i niewdzięcznej pracy ideowej. Wanda Cezaryna Woynarowska, w 17-ym roku życia przyłączyła się do nielicznej u nas wtedy garstki pionierów ruchu robotniczego; w tym wieku, kiedy jej rówieśnicom uśmiechała się wiośniana miłość, miała ona odwagę sięgnąć po krzyż męki i odtąd niosła go przez całe życie. Kilka lat, spędzonych w X-tym pawilonie, dalekie zesłanie, tułacze życie na emigracji, samotność, nędza połączona ze żmudną walką o byt, a mimo wszystko niewyczerpana nigdy ofiarność, niewygasły zapał i wiara, udzielająca się tym wszystkim pokrzywdzonym przez los tułaczom, który ją otaczali — oto jej życie.

Biorąc udział w działalności społeczno — demokratycznej, obcą była duchowi ciasnej partyjności, odczuwała boleśnie doktrynerskie waśnie i zatargi, będące najmniej ponętną cechą skrajnej lewicy społecznej.

Zwłoki jej spalono w krematorjum *Pere-Lachaise* d. 20 kwietnia, wobec tysiącznych różnojęzycznych tłumów, wśród których na pierwszym miejscu widniały delegacje kilkunastu polskich towarzystw. Szereg mówców, wśród niezmiernego skupienia, złożył hołd pamięci zmarłej, poczym złożono mnóstwo wieńców u stóp słynnego muru Komuny Paryskiej, który, przed 40 laty podziurawiony kulami i zlany krwią, symbolizuje przedziwnie ziemię, gdzie przyszła na świat Woynarowska.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Występując w artyk. *Rzym, Byzancjum i Polska* przeciw zbytnim zapędom prozelickim w Rosji, powodowaliśmy się troską o interes narodowy polski, z którym nie liczą się matadorowie Kurji, żądni ekspansji swoich wpływów *in partibus infidelium.*

Winniśmy stwierdzić, że większość opinji i prasy stanęła po naszej stronie, co świadczy, że przecież powoli uczy się ogół polski odróżniać sprawę polską od czysto zawodowych interesów kleru.

Ze swej strony kler mocno się stropił obrotem całej sprawy, przyczym, rzecz prosta, nie o Polskę mu chodzi, lecz o własne prebendy, korzyści, stanowiska.

Wyrazem wielce kwaśnego nastroju względem nazbyt gorliwych prozelitów, a głównie krakowskiej filji Tow. Jezusowego, jest pomieszczona w *Przeglądzie Katolickim* enuncjacja tej treści, zasługująca na bardzo pilną uwagę:

> Urzędowy komunikat o ks. Wiercińskim i prowadzonej przezeń propagandzie wśród staroobrzędowców i prawosławnych niemniej, jak o związku z tą propagandą ks. Arcybiskupa Szeptyckiego odsłania szereg faktów, których autentyczność została, przypuszczamy, przez władze państwowe należycie sprawdzona przed stwierdzeniem ich w tak kategoryczny sposób. Fakty te, ze stanowiska interesów i potrzeb Kościoła katolickiego w granicach państwa rosyjskiego, *są godne największego pożałowania.* Nie jest to zgoła w duchu i tradycji katolicyzmu używać dróg podziemnych i jakby konspiracyjnych: nietylko bowiem poszanowanie praw państwa we wszystkim, w czym nie sprzeciwiają się prawu Bożemu, jest powinnością chrześcijanina, ale wszelka akcja tajemna w praktyce doprowadza zawsze prawie do szkodliwych wyników, łamiąc naturalny i nie-

zbędny w Kościele hierarchicznym porządek, zmuszając do wykrętnych ścieżek i otwierając szerokie pole do nadużyć i intryg. Z tego rodzaju działań wyłonił się u nas nie sam tylko marjawityzm: przyniosły one nie jeden jeszcze mniejszej miary, ale niemniej zatruty owoc. A jeżeli kiedy akcja tego rodzaju była niewłaściwą, niebezpieczną i zdrożną, jeżeli kiedy winien był od niej wstrzymać rozsądek i wzgląd na dobro ogólne Kościoła w naszym kraju, to w chwili obecnej, gdy z jednej strony edykt tolerancyjny otwiera szersze ramy życiu religijnemu katolików, a nawet przekonaniu prawosławnych, podczas gdy z drugiej rozbudzone tym samym i zupełnie zrozumiałe drażliwości wyznawców panującej religji z podejrzliwą czujnością śledzą czynności katolickiego kleru w jego stosunku do prawosławia, a władze państwowe w razie przekroczeń stosują, ściślej, niż kiedykolwiek, surowość ustaw.

I dlatego z całym naciskiem zastrzegamy się przeciw wszelkiego rodzaju eksperymentom z zewnątrz, których terenem miałyby się stać nasze kościelne stosunki. „Le mieux est l'ennemi du bien", mówią Francuzi: o ileż mniej godzi się w naszym położeniu szukać tego „lepszego" nie do osiągnięcia i poświęcać dla tej mrzonki, jeżeli nie to, co dobre, bo tego brak, to, co było znośne. Wedle ustanowionego w Kościele ładu każdy biskup ma wyznaczony sobie zakres działania, w nim winien się zamknąć, nie przekraczając jego granic: tak samo i kongregacje zakonne. Nie możemy przypuścić, by Tow. Jezusowe, jako takie, mogło mieć udział w akcji, opisanej przez komunikat rządowy: co najwyżej możemy mieć do czynienia z *samorzutnym czynem nieroztropnej i zapewne niekarnej jednostki*, prawdopodobnie *pozbawionej węzłów z zakonem*, jeśli wogóle węzły te istniały kiedykolwiek. W każdym razie pragnęliśmy i mamy prawo żądać, by cała ta *dziwna sprawa* oświetlona została z interesowanej katolickiej strony w sposób wyczerpujący. Mamy prawo zapytać, na jakiej podstawie występowali biskupi obcych djecezji na nienależącym do ich juryzdykcji terenie i dlaczego bez wiedzy i zgody biskupów miejscowych urządzono jakieś czynności propagacyjne w kraju, w którym dość już ma duchowieństwo katolickie do czynienia i dostatecznie wykonuje swe posłannictwo, utrzymując ojczyste wyznanie u własnych swych w katolicyzmie owieczek. Mamy też prawo stwierdzić, że tego rodzaju fakty, nieautoryzowane przez miejscową Władzę biskupią, nie mogą być kładzione na karb i odpowiedzialność ani miejscowych księży, ani sterujących im biskupów.

Najmniej już zaś odpowiedzialność za nie może ponosić duchowieństwo polskie, skoro jak z tekstu komunikatu widać, z dwóch głównie inkryminowanych osób, jedna, ks. Wierciński, *stwierdza wyraźnie*, że celem jej *było przeciwdziałanie polonizacji katolików* w Moskwie, druga, ks. Arcyb. Szeptycki, znaną jest wszystkim ze swych wyraźnie i jaskrawo *przeciwnych Polakom* przekonań i działań.

Jak widać z tych arcymiarodajnych ustępów, troska o lokalny interes kleru przeważyła ogólno rzymski patryjotyzm; co dla lwowskiej *Gazety Kościelnej* jest „bardzo pocieszającą wiadomością" to samo jest „faktem, godnym największego pożałowania" dla warsz. *Przeglądu Katolickiego*, który taką daje nauczkę galicyjskim gorliwcom:

„Gazeta Kościelna" tak zazwyczaj poważna i rozważna, postąpiła nieco lekkomyślnie, dając miejsce na swych łamach niesprawdzonej a szkodliwej plotce. Wolno we Lwowie nie wiedzieć, że niema i nie było nigdy żadnego „Prymasa Kościoła katolickiego w Rosji" (jest tylko „Metropolita wszystkich rzymsko-katolickich kościołów w państwie rosyjskim"), wolno upatrywać podobieństwa do katolicyzmu, gdzie ich niema, ale niewolno zapominać, że Kościół katolicki w państwie tym znajduje się w warunkach wyjątkowo trudnych zawsze, a teraz bardziej, niż kiedykolwiek, i że kolportowanie wiadomości o jego rzekomych zwycięstwach i zdobyczach może mieć jeden tylko skutek, mianowicie do istniejących już klęsk i niebezpieczeństw, jakie cierpi, jakie mu grożą, doda nowe.

* Gdy tak w Polsce różnią się zdania co do tryumfów Kościoła Katolickiego w Rosji, ze swej strony kler prawosławny nie zasypia gruszek w popiele i podchodząc chyłkiem porywa owieczki tuż pod bokiem krakowskich oo. jezuitów. Donosi o tym lwowska *Gazeta Kościelna*, która, śledząc tryumfy ks. Wiercińskiego w Moskwie, przeoczyła czynność wschodniego prozelityzmu tuż u swoich progów, bo w ruskiej parafji Podmichale koło Kałusza, gdzie

uprawia się od 27 już lat propagandę prawosławną i to z poparciem tamtejszego grecko-katolickiego proboszcza, ks. Michała Skorodyńskiego. Lud podczas *Credo* nauczony jest nie wymawiać słów o pochodzeniu Ducha Ś-go „od Ojca i Syna", lecz tylko „od Ojca". Zdarzało się, że nowy wikary musiał kazać powtarzać „Wiruje" (*Credo*) jeszcze raz pod grozą odstąpienia od ołtarza, żeby lud zmusić do pełnego *Credo* w formie katolickiej. Powszechnym jest w tej parafji jeżdżenie na prawosławne odpusty do Poczajowa i Kijowa i przystępowanie tam do Sakramentów Świętych: „Gazeta Kościelna" wymienia po imieniu gospodarzy głoszących jawnie, że Ojciec św. nie jest Głową Kościoła, a pozostających mimo to w bractwie cierkiewnym i piastujących urzędy cerkiewne.

Takich proboszczy (!) ruskich są podobno w Galicji całe setki.

Niema co, budujący zaiste obraz przedstawia ten kler obu obrządków, wyłapujący sobie wzajemnie dusze po kątach z akompanjamentem złorzeczeń, oszczerstw, inwektyw i donosów; wobec znanego barbarzyństwa metod i bezwzględnego szczucia, w czym obie strony jednakowo celują, należy być przygotowanym na fatalne wyniki, które pogłębią otchłań goryczy i uprzedzeń, żłobioną wiekami pomiędzy Polską i Rusią.

* Nasze pisma konserwatywne w dziwne niekiedy wchodzą kolizje ze zdrowym rozsądkiem. *Dziennik Powszechny*, jak już wiadomo, odżydzić pragnie świat socjalizmem, niedawno przezeń ogłoszonym za „wynalazek żydowski". *Gazeta Warszawska* równą popisać się może przytomnością umysłu: jednego bowiem dnia potępiła masonerję, jako kierunek „antispołeczny, antinarodowy, antipaństwowy", a zaraz nazajutrz wytacza przeciw niej zarzut anarchisty Pataud'a, że za wszelką cenę „loże" pragną stworzyć harmonię społeczną a nawet skutecznie tłumią wpływ doktryn skrajnych.

Jedno z dwojga zatym: albo *Gazeta Warszawska* sprzyja anarchji społecznej, co brzmi nieprawdopodobnie, albo też jej publicyści nie liczą się z własnymi słowami, co nikogo zresztą nie dziwi.

* *Potwarz.* W nastrój wielkanocnych podniet religijnych *Kurjer Warszawski* rzucił następującą rakietę:

W dniu 14 b. m. w klasztorze na Jasnej Górze rozegrał się dramatyczny i sensacyjny akt zemsty duchownego marjawickiego, wywarty przezeń na bliskiej krewnej, za to, że porzuciwszy sektę marjawicką, nawróciła się na łono kościoła katolickiego. Przybyły z Łodzi znany tamtejszy duchowny marjawicki, Skolimowski, dowiedziawszy się, gdzie przebywa jego szesnastoletnia bratanka, Stanisława Skolimowska, dotarł do niej i oblał jej twarz i oczy kwasem gryzącym, parząc dotkliwie nieszczęśliwą dziewczynę. Opatrzył ją felczer klasztorny, poczem oddano ofiarę prześladowania pod opiekę kobiet. Leży ona w domu koło klasztoru. Po dokonaniu tego aktu zemsty duchowny Skolimowski zbiegł, niewiadomo dokąd. Nawrócona Stanisława Skolimowska przebywała dawniej u swego stryja, owego duchownego marjawickiego w Łodzi, skąd uciekła. Fakt ten wywołał w całym mieście niezwykłe wrażenie, a w samym klasztorze podczas całego zajścia — popłoch.

Można sobie wyobrazić, w jaki sposób notatka powyższa. powtórzona przez wszystkie bez wyjątku pisma, wpłynęła na stan duchowy tłumów, żywo reagujących na wszelkie podniety religijne i zdawna podszczuwanych na marjawityzm! Haniebną tę potwarz pierwszy wytknął i potępił *Kurjer Poranny*, opierając się na nieprawdopodobieństwie podanych szczegółów, zaś d. 18 b. m. *Słowo* — należy mu oddać sprawiedliwość — ogłosiło depeszę z Częstochowy następującej treści:

Wiadomość o poparzeniu jakimś kwasem przez o. Skolimowskiego jego bratanicy 16-letniej Stanisławy Pawlakówny, jest od początku do końca zmyślona. Pawlakówna, w celach dotychczas niewyjaśnionych, opowiedziała tę bajkę swym znajomym, ci zaś rozpowszechnili wieść po całym mieście.

Niektóre pisma powtórzyły to zaprzeczenie, ale pobożna katolicka prasa trwa dotąd przy wygodnej dla siebie wersji *Kurjera Warszawskiego*, sam zaś organ pani Lewentalowej rozpisywał się w dalszym ciągu o „wypadku" którego nie było, komentując go na wszelki sposób, gubiąc się w dociekaniach i domysłach na temat „zbrodni marjawity", wykręcając się z niemiłej sytuacji, jak żak przyłapany na kłamstwie, aby wreszcie wybąkać z przymusem i ociąganiem, że zajście było zmyślone od początku do końca. Tymczasem jednak niektórzy księża publicznie z ambon ogłosili ludowi o „zbrodniczej napaści" marjawity..,

— Jakież to wszystko smutne i jakże wymownie świadczy o upadku moralnym naszego społeczeństwa! — kończą *Wiadomości Marjawickie* relację swą o tym całym zajściu.

Sądzimy ze swej strony, że nie powinno tu być mowy o moralnym upadku społeczeństwa, lecz raczej o niskim poziomie etycznym pewnej części naszej prasy.

Wystrzegać się należy niesprawiedliwych i krzywdzących uogólnień. Kiedy trójka hultajskich mnichów na Jasnej Górze kradła, cudzołożyła, mordowała — kler wrzasnął, że to są grzechy całego narodu, a kiedy w gronie posłów galicyjskich wykryto szubrawców i złodziei, prasa endecka wołała: jakież to zepsute społeczeństwo!

I w tym oto wypadku organ marjawitów niesłusznie wini społeczeństwo za szpetne przywary głupkowatych kurjerków warszawskich, boć masy naszego ludu nieraz dowiodły, że wyżej wielekroć stoją pod względem etycznym od swoich pasterzy i orędowników w sutannach i smokingach.

Ale wina głupio-nikczemnej potwarzy legła plamą niezmytą na reputacji *Kurjera War.*, dostatecznie zresztą zbrukanej. Rzecz szczególna! Kiedy wystawiono *Dzisiejszych* w teatrze Rozmaitości, oburzył się p. Rabski i wołał, że autor lepi posągi z cuchnącego błota. A z jakiej materji lepi *Kurjer Warszawski* swoje informacje? P. Rabski nie dostrzega cuchnących miazmatów redakcyjnych, bo niemi oddycha i wśród nich żyje; skoro jednak chce grać rolę stróża moralności warszawskiej — niechaj zacznie od siebie.

* *Dziennik Powszechny* zabrał się do studjowania Marksa i doszedł do nadzwyczajnych wniosków. Okazało się bowiem, że „wyzwolenie ludzkości z jarzma kapitalizmu musi iść w parze z wyzwoleniem z jarzma żydowstwa. Jarzmo żydowstwa ujawnia się w tym.. że praktyczny duch żydowstwa stał się już duchem chrześciańskich narodów". — „Żydowska emancypacja oparła się na tym, że chrześcianie sami zżydzieli".

Chrześciaństwo wyszło z żydowstwa, ale ponieważ zasady jego nie weszły w osnowę społecznego życia, życie chrześciańskich społeczeństw przesiąkło żydowskimi moralnymi pojęciami i zżydziałe duchem — powróciło do tego, z czego wyszło.

Oto zbiór sensacji, które przyprawią chyba poczciwych abonentów *Dziennika* o silny rozstrój nerwowy. Organ bowiem klerykalny wywraca za jednym zamachem cały mozolnie konstruowany gmach mytów o zupełnym przeciwieństwie pochodzenia i rozbieżności celów ducha aryjskiego i semickiego. Nagle dowiadują się prostaczkowie, że „chrześciaństwo nietylko wyszło z żydowstwa, ale nawet wróciło do tego, z czego wyszło". Chcąc zaś obalić żydowstwo razem z chrześcijaństwem należy znieść ustrój współczesny i wprowadzić socjalizm. *Excusez du peu!*

Cóż jednak stało się z tylokrotnym twierdzeniem *Dziennika*, że to właśnie socjalizm jest żydowskim wynalazkiem?

* Pośrednio na to pytanie odpowiada *Dzień*, który z powodu uroczystości włoskich, bojkotowanych, jak wiadomo, przez katolików i socjalistów, takie czyni uwagi.

W tym wypadku objawił się coraz częściej powtarzający się za dni naszych fakt spotkania się we wspólnej przeciw radykalno-liberalnemu masoństwu opozycji tak skądinąd przeciwnych sobie żywiołów, jak katolicyzm i socjalizm. Jeśli co zbliża je do siebie, a oddala zarazem od liberalizmu, to właśnie to, czego masoństwo nie ma: wiara — wiara w ideał religijny u wyznawców katolicyzmu, wiara w ideał społeczny u socjalistycznych „towarzyszy".

Jakoż istotnie pomiędzy światem socjalistycznym a katolickim zachodzi niewątpliwa, acz nieświadoma zbieżność, mimo pozorów zaciętej walki. Różne są tego zjawiska przyczyny: w pierwszym rzędzie postawić należy żywiołową obustronną niechęć do racjonalizmu i postępu, następnie zaś — użytkowanie wspólnych, analogicznych metod grubej suggestji masowej, pełnej apokaliptycznych gróźb i obietnic absolutnego szczęścia, wreszcie — przewagę pierwiastku ślepej wiary nad metodą rozumową.

Tym się tłumaczy, że nieoświecone masy lgną naprzemian do agitatorów skrajnych i oo. redemptorystów, ulegając jednym i drugim z równą łatwością, i nie wychodząc ani na chwilę ze sfery pojęć i podniet wspólnej kategorji.

Z prasy rosyjskiej.

* Ktokolwiek mniema jeszcze, że świat uczuć i podniet religijnych należy do wyższej kategorji — niechaj spojrzy na cuchnący mrok i zastój naszego życia, w którym kłębi się rywalizacja sekt i kościołów, gotowych pożreć się żywcem z nadmiaru pobożnej gorliwości. Wśród rozpętanych ze wszech stron apetytów zaborczych na tle walki o parafje, prebendy, plebanje — zrzadka ozwie się głos nakazujący powściągliwość i tolerancję — cnoty czysto świeckie, a zatym nieznane świątobliwym hufcom Rzymu i Byzancjum. Ostatnio rozległ się taki głos ze szpalt *Sowrem. Słowa*, gdzie między innymi powiedziano:

Nie jesteśmy zwolennikami uroszczeń klerykalnych wogóle, a katolickich w szczególności, jesteśmy stanowczymi przeciwnikami klerykalizacji szkoły, mimo to, zdaniem naszym, pamiętać należy, że i katolicyzm i katolicy znajdują się pod opieką ogólnych ustaw tolerancyjnych, że przejście na katolicyzm w myśl nowych ustaw nie jest przestępstwem i że w tym kierunku walka z katolicyzmem prowadzona być może tylko w ścisłych granicach nowych ustaw, a wcale nie środkami starego systemu zapobiegania. W hałasie, wszczętym dokoła działalności księdza moskiewskiego, nieodzowny przepis ten poszedł widocznie nieco w zapomnienie. Nasi wojujący klerykałowie, rzucając gromy na klerykałów katolickich, wolą widocznie szukać ratunku przed papieztwem nie w mieczu kościelnym, lecz w środkach władzy świeckiej.

Z przykrością stwierdzić musimy, że głosy podobne w prasie rosyjskiej są rzadkością, zaś uciekanie się do interwencji władzy świeckiej w sporach wyznaniowych należy tam do zjawisk najpospolitszych.

KRONIKA.

DOWCIPNY SPOSÓB. W ostatnim numerze *Zarania* czytamy, że włościanin z parafji Kłubka niedaleko Włocławka, Bartczak, zaczepiony został przez wikarego

pytaniem: dlaczego sprowadza i czyta *Zaranie*? Widząc, że ks. wikary zaczyna na ten temat długie a zbyteczne kazanie, Bartczak rzecze doń: zaraz ja tu wrócę, za 10 minut! — Poszedł do proboszcza, mówi mu co zaszło i dodaje: *Zaranie* dla mnie, gospodarza, to najlepszy nauczyciel. Już ja wolę złożyć księdzu proboszczowi rb. 40 ofiary (i kładzie na stół pieniądze), niech mi tylko wolno będzie czytać to pismo. — Ksiądz proboszcz rzecze na to: dobrze, czytajcie sami, tylko nikomu do czytania nie dawajcie. Bartczak wtedy zgarnia pieniądze z powrotem i mówi: — „a no, jeśli wolno czytać za pieniądze, to chyba wolno i bez pieniędzy".

RYNEK KSIĘGARSKI. Główny zarząd do spraw prasowych kończy obecnie zestawianie danych statystycznych o książkach wydanych w roku ubiegłym w państwie rosyjskim.

W r. 1910 wydano ogółem dzieł 19,057 (w liczbie 109,990,000 egzemplarzy), z czego na język rosyjski przypada — 22,321.

W języku polskim wyszło 2,062 dzieł, w rusińskim — 180, w białoruskim — 14, w łotewskim — 649, estońskim — 454, żydowskim—903, niemieckim — 884, tatarskim — 313, ormiańskim — 203, gruzińskim — 117 itd.

W ogólności 6,636 dzieł przypada na 44 języki i narzecza.

Ciekawą rzeczą jest podział książek według treści. Otóż dzieł religijnych wydrukowano 2,232 w 8, 692,399 egzemplarzach; beletrystycznych — 2,013 w 6,692,149 egz.; zbiorowych utworów — 329 w 1,032,575 egz.; ludowych — 1595 w 15,641,645; dla dzieci — 1,287 w 5,727,083 egz.; podręczników naukowych — 2,075 w 20,730,510 egz.; kalendarza — 734 w 13,920,357 egz. i t. d.

SPRAWA MUZEUM W RAPPERSWILU. Na zarzuty bardzo poważnej i rzeczowej treści, stawione gospodarce obecnego kustosza przez pp. Żeromskiego, Szpotańskiego i in., *Gazeta Warszawska*, jak wiadomo, odezwała się w sposób, uwłaczający Stefanowi Żeromskiemu, bagatelizując całą sprawę i usiłując sprowadzić ją do czysto prywatnej animozji kilku osób.

Gazecie Warszawskiej bezceremonialność ta nie uszła płazem. Prócz zasłużonych cierpkich nauczek ze strony niezależnych organów opinji, organowi Dem. Narodowej dostało się kilka słów prawdy od autora *Bezdomnych*, który list swój pomieszczony w *Kurjerze Warszawskim*, kończy tymi słowy:

„Żądam kategorycznie, ażeby *Gazeta Warszawska* wykazała „fałszywość niektórych" z faktów przezemnie przytoczonych, jak o tem nadmienia.

Nie wiem, czy autor artykułu w *Gazecie Warszawskiej* jest podpisany, czy nie, gdyż pisma tego nie mam w ręku. Jeżeli nie jest podpisany, (w wyjątku, przytoczonym w *Kurjerze Warszawskim* takie to sprawia wrażenie) — wówczas sądowi ludzi uczciwych poddaję jego metodę obrony gospodarki p. Rużyckiego do Rosenwerth. Autor owego artykułu usiłuje rzucić cień na moje dobre imię zapomocą niejasnej wzmianki, jakobym po opuszczeniu Rapperswilu mówił „fałsze" o ludziach, zarządzających tą instytucją — do niego właśnie, autora artykułu w *Gazecie Warszawskiej.* Nie wiem, czy prawdą jest, że z człowiekiem, który ów artykuł pisał, mówiłem, czy nie, a jeżeli prawdą jest, że mówiłem o rzeczach rapperswilskich cokolwiek i kiedykolwiek, to „fałsze" owe były napewno takiemi samemi „fałszami", jak przytoczone przezemnie szczegóły z praktyk p. kustosza muzealnego. W broszurze p. Szpotańskiego przytoczyłem szereg nazwisk osób wiarogodnych, które można powołać na świadectwo. Co do mnie — posiadam kilkaset listów Henryka Bukowskiego, traktujących o tych sprawach. Prawda da się wyjaśnić.

Nie wątpię jednak, że sprawa p. Rużyckiego de Rosenwerth dobrze stoi. Ma on potężnych obrońców, a ci, nie rządząc się, oczywiście, nienawiścią, potrafią utrzymać i nadal sławnego kustosza u steru nawy rapperswilskiej ku pożytkowi rodzimego muzeoznawstwa. Napewno okaże się, że wszelkie zarzuty są nieprawdziwe, wymyślone przez wrogów Rapperswilu, którzy z nienawiści i zemsty wyssali z palca „fałsze", „o laskach Kościuszki" i „maszynach Baranowskiego". *Gazeta Warszawska* szkaluje moje imię literackie wytrwale, usilnie i z powodzeniem. Zgadzam się na to. Jest to jej prawo. Lecz niechże jej to wystarczy. Skoro jednak chce ona bezpodstawnie i wbrew prawdzie obniżyć wiarogodność mego świadectwa w sprawie publicznej, muszę to odeprzeć z całym naciskiem, jako niegodną napaść.

Stefan Żeromski.

Paryż, d. 15-go kwietnia 1911 r.

INORODCY. Prawodawstwo rosyjskie określa zupełnie dokładnie, jakie osoby trzeba zaliczać do kategorji obcoplemieńców czyli „inorodców". A mianowicie, art. 762 tomu IX Zb. Praw brzmi: „Do liczby inorodców w państwie rosyjskim należą: 1) inorodcy syberyjscy, 2) samojedzi gub. archangielskiej i stawropolskiej, 3) koczownicy gub. stawropolskiej, 4) kałmycy, koczujący w gub. astrachańskiej i stawropolskiej, 5) kirgizi hordy wewnętrznej, 6) obcoplemieńcy w obwodach: akmolińskim, siemipałatyńskim, siemireczyńskim, uralskim i turgajskim, 7) ludność obcoplemienna obwodu zakaspijskiego i 8) żydzi".

Wobec tak jasnego określenia nie ulega wątpliwości, że używany tak często w mowach Dumy i w artykułach prasy nacjonalistycznej termin „inorodcy" nie może być stosowany do polaków, niemców, łotyszów, ormian i t. d., gdyż prawo uznaje ich nie za inorodców, lecz za obywateli państwa, podlegających ogólnym ustawom.

Notatnik wydawniczy.

Sztuka, Miesięcznik poświęcony literaturze, teatrowi muzyce, malarstwu i rzeźbie, architekturze i sztuce stosowanej. Treść (tom I, zeszyt I, Marzec 1911):

Artur Górski: Poezje; Karol Szymanowski: Św. Franciszek mówi... (nuty); Henryk Juszkiewicz: O niezniszczalnym. — Ginącemu społeczeństwu; Franciszek Siedlecki: Djalogi (rysunek); Jan Lemański: Testament; Bolesław Leśmian: Sidi-Numan; Zdzisław Eichler: Narodziny Dionizosa; Henryk Grombecki: Chrystus; Jan Rundbanken: Zaloty. — Miasto w średniowieczu; Jannsz Nawroczyński: (Rysunek); Zygmunt Zenon Idzikowski: Napój trujący; Aleksander Szczęsny: Rozmowa. — Uczeń Charles Baudelaire: Spleen; Paul Gauguin: Nafea; Maurice Denis: W morzu; Jean-Arthur Rimbaud: Dzieciństwo; Alfons Gravier Dwór na Wołyniu (archit.): Tadeusz Miciński: Xiądz Faust (powieść); Jan Rundbaken: Sztuka jako życie; Aleksander Szczęsny: Słowo o bohaterstwie żywota; Franciszek Siedlecki: O malarstwie; Tadeusz Nalepiński: Tabula rasa (rzecz o teatrze); Henryk Opieński: Znaczenie muzyki w dramatach Wyspiańskiego. Kronika. Reklamy artystyczne.

OFIARY.

Na szkołę w Kruszynku: P. Waręski z Warszawy rb. 5.

Na szkołę w Sokołówku: p. W. R. rb. 1.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.